

Nr 3 (42)  
2010



ISSN 1732-1069



# PEGAZ LUBUSKI

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. ZBIGNIEWA HERBERTA  
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH - ODDZIAŁ W GORZOWIE WLKP.



## Drogi do samotności

twoje serce  
wciąż poszukuje  
czegoś więcej

ludzie z nieba  
zaprzatają ci głowę  
mówią jak święci

nie patrz na nich  
patrz prosto w moje oczy

odchodzi od nas niepokój  
tylko do jutra

różnymi drogami  
dobiegamy do samotności

nasze serca  
wciąż poszukują  
czegoś więcej

*Janusz Dreczka*

W pierwszą rocznicę śmierci gorzowskiego poety Kazimierza Furmana, 14 października 2010 roku w holu Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Zb. Herberta w Gorzowie, obok rzeźb głów Zdzisława Morawskiego, Ireny Dowgielewicz i modelu pomnika Papuszy, stanęło popiersie Kazimierza Furmana dłuta Andrzeja Moskaluka.

Uroczystości odsłonięcia towarzyszyło czytanie przez Aldonę, córkę poety, i Janusza Dreczkę wierszy Kazika oraz jemu poświęconych.

Więcej na stronie 26

Ireneusz Krzysztof  
SZMIDT

## PO BITWIE

*Kazikowi Furmanowi*

**Za kopiec zeszlenczonej słomy  
swoje armaty odciągnęła burza**

**Podniebne topole  
wsparte śmigłym wiatrem  
wymiotły chmury za horyzont**

**Posiwały skały wapienne  
w zastygającym zwierciadle  
pobliskiego jeziora**

**Jeszcze raz  
przeszyła pole pikująca jaskółka**

**Ostatnie krople deszczu  
ekspłodowały w przestrzeń  
między ziemią a niebem  
i tam zostały  
uwięzione w tęczy**

**Teraz z kałuży  
między brudą a miedzą  
arią świetlistą w niebo  
wystrzelił skowronek  
– będzie ją słońcu śpiewał  
do wieczora**

**Furman wyszedł zza progę  
i przysiadł na przyzbie  
w dupie miał wszystkie wojny  
doczesnego świata**

**NAGRODA KULTURALNA PREZYDENTA GORZOWA – „MOTYL 2010”  
i MARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA  
LUBUSKIEGO DLA IRENEUSZA  
KRZYSZTOFA SZMIDTA w 75 URODZINY,  
55. ROCZNICĘ DEBIUTU  
i 45. PRZYJĘCIA POETY DO ZLP.**

Więcej na str. 2 i 9

Marek Grewling

## WERBEL OSKARA MATZERATHA

Głównym bohaterem wielkiej powieści Günтера Grassa „Błaszany bębenek” jest Oskar Matzerath. To chłopiec, którego tożsamość jest mieszkanką na miarę geniuszu pisarza takiego jak Grass. Osoba Oskara owiana jest mgiełką mistyki przełamanej perwersją. To dziecko jest jak soczewka skupiająca w sobie wpływy kultur, które przeplatały się przed wojną w Wolnym Mieście Gdańsk. Akcja powieści dzieje się tuż po dojściu do władzy nazistów w Niemczech, a więc w czasach brzemiennych w następstwa. Według zamysłu pisarza jego bohater w wieku trzech lat postanowił przestać rosnąć. Mały chłopiec od początku świadomego życia postrzega świat jako nieprzyjazny i groźny. Z niezmierną ostrością dostrzega zakłamanie ludzi, począwszy od najbliższych, na społeczeństwie kończąc. Diagnoza nabiera szczególnej wyrazistości po wkroczeniu do Gdańska hitlerowców. Dlatego niezwykle dziecko postanawia nie rozmawiać z ludźmi, którzy są tak brutalni i bezduszni – taka jest przygniatająca rzeczywistość w oczach małego Oskara Matzeratha. Naturalnie otoczenie postrzega go jako niemowę. Dzięki temu zabiegowi pisarz ukazał jedyną możliwość w sytuacji, gdy nie można praktycznie nic zrobić. Jego bębnista udaje się na wielką wewnętrzną emigrację. W umyśle dziecka dzieją się wielkie sprawy, jego głowa jest pełna sztuki i piękna, w którym zanurza się, aby uciec od złego świata. Nie trzeba wielkiej dociekliwości, by zauważyć, że bohater „Błaszanego bębenka” jest alter ego Güntera Grassa. Są jednak sytuacje, gdy zło narzuca się tak bezczelnie, tak jednoznacznie i podłe, że nasz wewnętrzny emigrant nie może milczeć i komunikuje całemu światu: „Widzę tę podłość! Nie zgadzam się! Chcę żyć-”

cd. na str. 2

## Czyżby zmowa?

Przyznaję, że z pewną obawą przyjąłem wiadomość o podwójnej nagrodzie kulturalnej, jaka do mnie trafiła w moim roku jubileuszowym. Nie żebym we własny odczucie na nią nie zasługiwał, bo w 75. latach życia ponad pół wieku poświęciłem pracy twórczej, pracy w kulturze i jej upowszechnieniu, oczywiście nie tylko własnej. Obawa dotyczyła zbiegu okoliczności, który trochę wyglądał na znowę prezydenta Tadeusza Jędrzejczaka i marszałka Marcina Jabłońskiego. Bardziej niż o siebie, o nich się obawiałem. Bo tam, gdzie w grę wchodzi pieniądze, a nagrody są nimi podparte, zawsze znajdują się ludzie zawistni i tacy, co inne mają zdanie. W kampanii antywyborczej, tylko patrzeć, jak niektórzy będą im mieli za złe.

Ale z drugiej strony jest w tym jakaś metoda: przecież wnioskodawcy i członkowie kapituł dwóch tak ważnych przedstawicieleli władzy z różnych politycznych opcji w zasadzie nie powinni się mylić. Taka „zmowa” daje nagradzającym – powiedzmy – poczucie bezpieczeństwa, że duża część elektoratu uzna ich decyzje za słuszne, a przynajmniej rozsądne.

Literatura powstająca w mieście średniej wielkości (termin prof. Kunickiego) nie trafia do wielkich narodowych plebiscytów, nagród Nike i innych ani do seriali telewizyjnych, ale przecież też jest komuś potrzebna. Świadczą o tym promocje książek i każdego nowego numeru „Pegaza” w salonie literackim gorzowskiej księgarni. Także w „Lamusie”, gdzie startują młodzi. Swoją publiczność ma również salon „Na Zapiecku” Barbary Schroeder, choć nie zawsze jest literacki, mają kluby osiedlowe i filie biblioteczne. Antologia „Wysłuchani w kamieniu Gorzowa” z ponad trzystoma wierszami wywiedzionymi z życia miasta i jego mieszkańców przez ponad 60. poetów rozeszła się jak świeże bułeczki. W konkursie wiedzy o gorzowskim środowisku pisarskim zorganizowanym przez Dom Kultury w Małyszynie wzięło udział ponad stu gimnazjalistów, w większości obrytych na piątkę z plusem. W serii „Biblioteki Pegaza Lubuskiego” ukazało się 35 książek naszych autorów, w tym 15 debiutów, a gorzowski oddział Związku Literatów Polskich z 10. osób dzięki temu urósł do 25., nie licząc trzech kolegów, którzy w tym czasie ten ziemski padół opuścili na zawsze. Ja i moi koledzy po piórze też mamy swoich czytelników, przyjaciół i fanów (na miarę miasta średniej wielkości). Kto był, ten wie, ilu nas przyszło na odsłonięcie popiersia Kazimierza Furmana ufundowanego przez przyjaciół w pierwszą rocznicę jego śmierci.

Nie zmienia to starej prawdy, że nagradza się żywych, a docenia się ich po śmierci. Czego na razie sobie nie życzę.

*Ireneusz K. Szmidt*

## W numerze 3 (42) szczególnie polecam:

dokończenie eseju L. Żulińskiego „Poezja trzech pokoleń” i reportażu prof. L. Lipnickiego „Wielka wieś Ameryka”, a także jak nigdy dotąd wiele krytycznych ocen i recenzji książek literackich wydanych ostatnio w Gorzowie. Oprócz tego nowe wiersze i dużo wiadomości ze świata literatury i nie tylko. W sumie 28 stron, myślę, że ciekawej lektury.

ście o tym wiedzieli!”. Komunikaty na temat tego, co widzi i słyszy, chłopczyk z powieści wydaje przeraźliwie piszcząc i bębniąc pałeczkami w tytułowy blaszany bębenek, który nie przypadkiem ma białoczerwone kolory. Z tego bębnienia nic dokładnie nie wynika (z wyjątkiem stłuczonego piskiem szkła – kolejna niezwykła zdolność chłopczyka).

Tak oto pod maską niedocenianego przez rodzinę, niedorozwiniętego dziecka-karła, społeczność Wolnego Miasta, a następnie Trzeciej Rzeszy Adolfa Hitlera otrzymała uważnego i mądrego obserwatora. Oskar ma świadomość swojej wyjątkowości, która polega na prawie do oceny i to – nie uciekajmy przed tym słowem – oceny moralnej. Nasz bohater bez trudu rozszyfrowuje nie do końca chwalebne dzieje własnej rodziny, widzi przewrotność ideologii nazizmu i samobójczy marsz Trzeciej Rzeszy. Tuż po wyzwoleniu widzi także ślepe uliczki przyszłości.

Czy ktokolwiek w bogato zaludnionej powieści niemieckiego noblisty zwrócił uwagę na bębniącego karzelka? Oczywiście nikt. Świat pędził przed siebie, a głos oceny moralnej nikogo nie obchodził, tym bardziej że oceny wystawiał ktoś o tak małym autorytecie. Można postawić pytanie: czy w takim razie warto zabierać głos w perspektywie zakładanej a priori przegranej dobra i humanizmu? Właśnie to uniwersalne pytanie jest jedną z głównych kwestii moralnych „Blaszanego bębena”. Grass nie udziela na nie jednoznacznej ani jasnej odpowiedzi. I słusznie. Autor stawia problem, a odpowiedź należy do czytelnika.

Stworzony przez Grassa Oskar Matzerath przemierzał ulice powieściowego Gdańska w czasie dramatycznych i ważkich lat przedwojennych, wojennych i tużpowojennych. Jego postać to zachęta dla nas, żyjących współcześnie. Zachęta do porzucenia obaw, że nasze komentarze nic nie znaczą, że jesteśmy karłami wobec potęg sterujących i kreujących nasze tu i teraz. Na tym właśnie polega geniusz koncepcji noblisty, że postawa jego bohatera jest aktualna w każdej sytuacji i w każdym czasie. Pisarz mówi niejako do swojego odbiorcy: „Weź w końcu ten pozornie groteskowy bębenek, ujmij w dłonie pałeczki i daj światu znać, że się nie zgadzasz! Pozbądź się cholernej obawy, że zbyt mało znaczysz, żeby zabierać głos. Krzycz! Niech twój werbel brzmi!”.

Biorę więc swój werbel i bębnię najgłośniej jak tylko potrafię. Wiem, że jestem karłem, którego nikt nie będzie słuchał; nie szkodzi, nie mam kompleksów, dokładnie tak jak nie miał ich mały Oskar. Wychodzę na ulice i mój werbel brzmi. Niech świat słyszy, że mówię: „Nie”. Niech wszyscy wiedzą, że jeden mały człowiek, karzeł w kategorii świata, też ma do powiedzenia swoje zdanie. Teraz wypadałoby wyliczyć, w których miejscach Warszawy, w jakich klubach sejmowych, w których spółkach, w jakich ministerstwach, resortach i województwach powinien zabrzmieć blaszany bębenek. „Przeciwko komu?”. Następnie wypadałoby prapolskim obyczajem ogłosić listę takich co „nie po naszej stronie”. O nie, proszę Państwa. To nie ta miara. Tym razem tak nie będzie i oby już nigdy nie było. Każdy z nas ma swój własny bębenek. Każdy z nas ma zagrać na nim tam, gdzie, jego zdaniem, trzeba powiedzieć: „Nie”. Słusznie czy niesłusznie? Bohater naszej powieści naprawdę tym się nie przejmował. Jego werbel brzmiał w miejscach i sytuacjach, które on sam wybrał. Mój werbel brzmi w miejscach, które ja wybieram. To ja mówię moje „Nie”. I to Ty sam masz wybrać miejsce, w którym zagrasz, wybrać ludzi, którym zabębnisz. Do Ciebie należy ocena i masz prawo ją wystawiać nie oglądając się na poprawność, stereotypy czy banalne ludzkie komentarze.

*Marek Grewling*

P.S.

Na koniec powieści okazało się, że przyszłość należała do Oskara, który po upadku nazistów zostawił swój bębenek, znów zaczął mówić i rosnąć.

## Kogo warto czytać?

Festiwal poetycki, jak sama nazwa mówi, stawia na poezję. Panele dyskusyjne skupiają tych, którzy poezją się zajmują, interesują oraz samych poetów.



Działania w zakresie poezji przybrały w tym roku dwójki charakter – z jednej strony konsultanci (Marta Podgórnik i Karol Maliszewski) omawiali w konsultacjach indywidualnych pojedyncze wiersze, a nawet całe tomy poetyckie. Jednocześnie pracowano nad ośmieszeniem typowości w poezji – choćby wzorca wiersza męskiego czy patriotycznego. Zabawa była przednia. Podobnie jak przy uzupełnianiu wiersza znanego poety – tak by zgadnąć – co właśnie ten poeta w danym wersie napisał. Nikomu się nie udało, ale propozycje, które padły, okazały się bardzo ciekawe.



Natomiast działania w mieście były typowo przeznaczone dla zwykłych czytelników, a nawet przypadkowych odbiorców poezji, stanowiąc drugi nurt tego przedsięwzięcia. Okno na poezję – projekcja tekstów poetyckich w oknie kamienicy, w której mieści się Klub Myśli Twórczej „Lamus”; wiersze na szynach – czytanie tekstów poetyckich w tramwajach gorzowskich przez aktorów Teatru im. Juliusza Osterwy; ogólnodostępne zmagania w turnieju jednego wiersza i slam.

Interesująco przebiegła również dyskusja o pasjach literackich. Kogo warto czytać? Na pewno Juliana Kornhauzera, Dylana Thomasa, Charlesa Bukowskiego, Walta Whitmana, Annę Świrszczyńską, Małgorzatę Hillar czy Aglaję Veteranyi.

## KAROL MALISZEWSKI

### Do nieznajomej

**Dlaczego pani jest tak bezlitośnie  
piękna, co pani sobie  
wyobraża, myśli pani,  
że nie ma na panią  
siły?**

**I oczy proszę skierować gdzie indziej,  
nie przyczyniać się nimi  
do zguby od niechcenia,  
są granice widzenia,  
słyszenia i tak dalej!**

**Są jakieś granice w tym  
pokazywaniu się na ulicy,  
kostium nie powinien tak lśnić,  
a te usta sterceć  
zwilżane językiem.**

**I tak spotkamy się na jednym biurku,  
będziemy się uśmiechać  
z legitymacyjnych fotek,  
będziemy chodzić ze sobą  
kanałami chrząszczy**

**i wgrzać się w życie,  
w obcy miąższ.**

### Wiersz pisany gdziekolwiek

**Nie ma powodu, by krzyżeć;  
cichym głosem wyznając miłość  
do tej śmierci, wszystkich jej form.  
To jest jak burza,  
która wyrządza szkody na tarasie,  
oświetlając ciemne zakamarki podwórka.  
Potem nic się z tego nie pamięta,  
życie przenosi się z miejsca  
na miejsce, nie myśląc, co dalej.  
Schną pozostawione na deszczu  
sandały, derki, poduszki;  
w mig wymienia się powietrze.  
Tylko słowa trwają obok  
i patrzą z ukosa. Jak oślepiające słońce  
troska i staranie.  
Jest w tym sens na chwilę,  
na jedno westchnienie.**

*Kokuletovica, 14. 08. 09*

Czytanie jest bowiem podstawą do pisania. Trzeba znać wzorce poetyckie, by nie stać się epigonem. Nie ma bowiem jednej poezji – jest kilka jej odmian. A język poezji można traktować jako język obcy w ramach przestrzeni języka rodzimego. Zadaniem piszącego jest wyrwanie języka poezji z własnego języka etnicznego, rozszerzając spektrum słowa. To właśnie w poezji wielkiej ginie komunikatywność, zrozumiałość, bo do głosu dochodzi pewne zapętlenie w słowie. Trudne zadanie.

WARTAL przyciągnął w tym roku około 30 osób. Nie wszyscy poeci wzięli jednak udział w zmaganiach konkursowych. Na Turniej Jednego Wiersza przybyło sporo miejscowych piszących, a w slامية kilkoro się wyłamało. Wciąż bowiem w tej formie nie czujemy się dobrze. Niby jest to zabawa i powinna być oparta na improwizacji – a nikt nie improwizował. Było dość nudno. Może warto w przyszłości zaprosić zawodowych slamerów, którzy zaprezentują, jak taka forma poetyckich zmagani wygląda? Naszym poetom brak wczucia w tekst i tak zwanych jaj. Musimy się jeszcze tego nauczyć, ale przecież wszystko przed nami w edycji III w roku 2011.

## Wyniki WARTALA 2010

### Turniej jednego wiersza:

Marta Kapelińska (Rychwał) MARTWY SEZON (I m.)

Alicja Łukasik (Gorzów Wlkp.) POZOSTAŁOŚCI (II m.)

Kacper Plusa (Pabianice) PIERWSZA PIEŚŃ HENOCHA  
(II m. ex aequo)

### Slam poetycki:

Miejsce I - Łucja Dudzińska (Poznań)

Miejsce II - Klaudia Raczek (Andrychów)

Miejsce III - Kacper Plusa (Pabianice)

## Alicja Łukasik

*II nagroda*

### POZOSTAŁOŚĆ

Zachowanie pionowej postawy stanowi dla ścian największą trudność – równowagi za grosz, nawet tynk przestał trzymać, a wewnątrz budynku, w pomieszczeniu, z którego wynoszą nas zdarte schody,

powstają nowe legendy, bo człowiek zobaczył lub usłyszał albo niedosłyszał właśnie i uzupełnia luki.

(Opuszczone rudery są obiektem zainteresowań dzieci).

Jeśli cofniemy się o kilka przeżyć, w tym miejscu zobaczymy siebie, pochłoniętych

## NAGRODY WARTALA

### Marta Kapelińska

*I nagroda w konkursie jednego wiersza*

#### MARTWY SEZON

wrośniesz we mnie prośbą przychylnym podaniem  
otworzysz się  
raną białego tunelu który prowadzi w ciemność  
podobno są miejsca między nami gdzie wschodzi  
pomyślnie światło a dobre sny roją się brzękliwe jak  
muchy  
podobno są miejsca między nami gdzie wychodzi  
dwugłowa hybryda z naszych ciał głodna samej siebie  
i trzeba to oznajmić omówić w trybie jak najszybszym  
najlepiej łączącym ale my nie rozmawiamy już ze sobą  
słowa jakoś nie służą nam ostatnio nie rymują się na  
podniebieniu  
w życzliwe koleiny które znoszą w twoją stronę  
co mam zrobić przyjąć po latach z wywieszonym  
językiem  
powiedzieć weź każde słowo wszystkie sny w których  
umarłeś  
odsącz każdą niewierną kroplę śliny a wschód obróci się  
na bok i wyrosnie nam w ustach jeszcze przed północą  
niech ciemne zaułki przyjmą nas w swe gościnne  
ramiona  
wiersz idzie własną drogą i kłamie że uschły w nas okna  
przymknęły się morza chłodne jak powitanie chłonne  
jak pożegnanie jak do widzenia które nie chce więcej

### Kacper Plusa

*II nagroda*

#### PIERWSZA PIEŚŃ HENOHA

zaświadczam, że tego lata nie było burz, aby je zbierać  
jedynie ziarna piasku przesączały przez siebie krople  
w przyływach dobrej woli  
na placu boju pozostało targowisko, reszta to milczenie  
wózków uciszanych kneblem ze żwiru,  
który zabijał głos szprych

toczono tu spór o więcej niż materiał. diabeł babki-  
handlarki tkwił w szpaltach  
(bezwstydna pycha pytania: dobrą czy złą wiadomość  
przekazać najpierw?)  
w owocach suszonych na sprzedaż  
w dymie, który wiał się jak kocur wychodząc z paleniska  
w pobliskich domach  
w mrok gęstych, pierzastych wymion  
w pewność, że w gruncie  
nikt nie będzie uprawiał już zboża  
powiedziałem wtedy: nabrzmiało niebo  
przypomina ścierkę, otula nóż

**Łucja Dudzińska**

*(I nagroda w slامية)*

## RÓŻOWA LANDRYNKA

Wszystkim wiadomo, że pieniądze leżą na ulicy.  
Wystarczy nisko upaść. Nisko. Niżej – na bruk.

Rozmawiała z głuchym telefonem, kiedy on spytał  
o miłość. Zmrużyła oczy jak kot. Nie tylko do życia  
odwraca się plecami. Na pytanie o wiarę

odpowiada, że lubi klęczeć. Z wrażenia przestaje oddychać,  
ale nie może się powstrzymać. Carpe diem.  
Skrzyżowane uda zaostrzają pragnienie. Odchodzi  
w światło, wie że patrzy, a to zwiększa perwersję.

Później pub i tequila, bo budka z piwem nie wystarczy.  
Na końcu zawsze pali mosty i Camele.

**Klaudia Raczek**

*(II nagroda w slامية)*



zrywam się z łóżka, z łańcucha  
snu: kim jesteś?  
aż do rana jedna odpowiedź – nie wiem – póki  
nie zdam sobie sprawy, że dzień; nie zdam  
fizyczności, by wpakować ją w obuwie, odzienie,  
od nowa nadzieć i rozerwać dynamitem tę głowę,  
całą postrzępioną,  
ze słów.  
zmiana dzienna, choć wahadło wciąż nocne;  
rozgotowanie ciała przez seks; powszedni  
o tej porze roku – deszcz – trze o parapet,  
a skrzypiące okna wrzynają się pod skórę  
wracam od ciebie, i rozplywam w tej mgłę  
jak hostia na języku  
[a ciało moje, spożywcze]



prezentowane na wieczorze autorskim *Młodzi i młodzi* na XXIX  
Warszawskiej Jesieni Poezji dn. 10 października 2010 r.

**Karol Graczyk**

## JEZIORA

Trudno dzisiaj powiedzieć, kiedy był początek,  
subtelne rzeczy nigdy nie stają się nagle,  
jak usuwanie numerów telefonów zmarłych.

Ten początek, ten koniec – są bardziej umowne  
jak świadoma decyzja, przychodząca z czasem,  
żeby zapamiętać siebie bez wad i w ubraniu.

Może to było wtedy, kiedy marnowaliśmy czas  
siadając na ławkach w parku. Że marnowaliśmy,  
dotarło do nas później. Zresztą z blondynkami

nigdy nie było po drodze, a każda z nich ma to samo  
imię (nie było ich wiele). Początek mógł być też  
zupełnie inny, może odejście od roli grzecznego

chłopczyka, jeszcze z całą naiwnością, kiedy  
zamiast trawy placilo się za szczaw, a zamiast  
fety, za inny biały proszek. Może to było wtedy.

Może jeszcze, kiedy co tydzień, w niedzielę  
odprawiało się rytuał ziewania w kościele.  
Chociaż to było wcześniej, subtelnie jest,

subtelnie. Ale wtedy, pamiętam, był spokój,  
zupełny. Brak poczucia czasu, jego marnowania.  
Teraz, kiedy to trwa i zmienia się niewiele,

sumienie coraz bardziej gryzie, a wrócić jest ciężko  
na tory, tam gdzie trzeba, ciężko zapamiętać, że jeśli  
chce się chodzić po wodzie, trzeba wejść do jeziora.

## GREGORY HOUSE PRZYJMUJE PACJENTA

Gregory House przyjmuje pacjenta. Diagnoza jest trudna,  
to nie jest zwykły katar. To katar z przerzutami,  
złośliwy, śmiertelny. Pacjent był na wyspach, na jakich,  
nie wiadomo, stracił przytomność nim zdążył powiedzieć.

Trzeba operować, nikt jeszcze nie wie na co,  
choć katar widoczny, badania milczą.

Gregory House krzyczy,  
bo bez dopalacza nie postawi diagnozy, a pacjent umrze  
z powodu kataru. Złośliwego, z przerzutem, ale to nieważne.

Ważne, że papierów jest wtedy cała masa. Greg nie lubi  
papierów, woli leki, sarkazm, śmierć pacjenta nie da mu  
korzyści.

Trzeba więc ratować, a zapach śmierci już bardzo poważny.  
Stan pacjenta coraz poważniejszy: gorączkuje, dygocze cały  
czas (czas wlatuje przez okno razem z powietrzem  
i drobinami  
śmierci). Bezwładność ciała dodaje wagi.

Gregory House przypuszcza  
ostateczny atak, pacjent umiera, co zdarza się rzadko.  
Jutro przyjdzie inny, będzie się czym zająć.

Leszek Żuliński

## POEZJA TRZECH POKOLEŃ (II)

Wraz z potężną falą Styksu, która zabierała starych poetów w latach 80. – z dnia na dzień zostawiali oni puste miejsca na liście tzw. żywych klasyków.

Czy w to miejsce automatycznie weszli ich następcy generacyjni? Otóż niekoniecznie. Bowiem na ten proces zmiany warty nałożyło się zjawisko powrotów emigracyjnych. Czesław Miłosz, który przez 30 lat nie istniał ani w naszej świadomości, ani w podręcznikach, ani w bieżących lekturach, nagle powrócił tak jak powraca zdezonizowany ongiś władca. Było to wydarzenie, którego efekt z biegiem lat nie słabł, lecz wzmacniał się. Dziś poezja polska jest „miłoszocentryczna” – miał on wprawdzie za życia niewielu naśladowców, lecz dziś jest wyrocznią, autorytetem, stałym punktem odniesienia i literackim bohaterem narodowym. Oczywiście, nie mówię o środowisku literackim, bo ono Miłosza bądź akceptuje na tronie, bądź nie cierpi – ale krytycy i wydawcy wiedzą, że jest to „towar”, który się świetnie sprzedaje, a więc taki, o który trzeba dbać. Nota bene można jeszcze obok Miłosza postawić Wisławę Szymborską i uwielbianego księdza Jana Twardowskiego – i można by zakończyć wykład na temat współczesnej poezji polskiej.

Są to poeci, oczywiście, świetni, ale magia marketingu – w Polsce wynalazek dziesiątej dekady – sprawiła, że inny „towar” został niemal wyparty z rynku. Publiczność, od której przecież nie możemy domagać się rozległej i wtajemniczonej wiedzy poetyckiej, zaspokojona jest twórczością tej Wielkiej Trójki raz na zawsze. W referacie, jaki wygłosiłem podczas Warszawskiej Jesieni Poezji w 2000 roku, mówiłem m.in.: *Moim zdaniem, cezurę w „stanie posiadania” literatury współczesnej stanowiły dwa główne etapy transformacji polityczno-społecznej. Pierwszy – etap rewolucyjny – to początek lat 80., kiedy i ludzie, i kultura stanęli na barykadzie. Drugi etap – etap metamorfozy – to długie lata 90., kiedy kultura zaczęła przechodzić od „inżynierii dusz” do „ekonomii marketingu”, a więc kiedy okazało się, że jest towarem, którym trzeba handlować, a nie balsamem, którym trzeba namaścić.* Trzeba przyznać, że akurat ta trójka poetów łączyła jedno i drugie – walor komercyjności z walorem wartości, co jest pewnym ewenementem w naszej branży.

Wróćmy do emigracji. W wymiarze ogólnoliterackim, a więc nie dotyczącym li tylko poezji, przeżyliśmy wielki come back autorów i ich dzieł. Mniej lub bardziej znanych, mniej lub bardziej zakazanych – jest jednak oczywiste, że wieloletnia literatura polskich diaspor, a głównie trzech ośrodków – paryskiej „Kultury” oraz londyńskich „Wiadomości Literackich” i „Oficyny Malarzy i Poetów” – powróciła do kraju. Powróciła i poezja. Czesława Bednarczyka, Andrzeja Bobkowskiego, Mariana Czuchnowskiego, Wacława Iwaniuka, Aleksandra Janty-Pończyńskiego, Jerzego Pietrkiewicza, Tadeusza Sułkowskiego. Musieliśmy obraz powojennej literatury polskiej składać sobie na nowo, musieliśmy w ten obraz wpisać pomijane wcześniej nazwiska i zjawiska. Czy dzisiaj, z perspektywy kilku lat, było to rewolucyjne przewartościowanie tego obrazu? Jeśli brać pod uwagę możliwość dokładnego poznania Czesława Miłosza i Witolda Gombrowicza, w drugiej kolejności Stanisława Vincenza i Aleksandra Wata, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego i Konstantego Jeleńskiego, no i wszystkich członków londyńskiego „Kontynentu”

– to tak. Jeśli spojrzeć z dystansu na całą emigrację, a zwłaszcza na jej poezję – to ta „peerelowskiego” miotu wcale nie ustępowała jej, a można nawet twierdzić, że poza Miłoszem wielkie nazwiska liryki pozostały tu, na miejscu. Emigracyjne rewindykacje przyniosły jednak pewien poboczny efekt: objawiły nam literaturę żydowską polskiego pochodzenia lub polskiego „skoligacenia”, o której nie mieliśmy pojęcia. Począwszy od okresu wojennego, mam tu na myśli chociażby wielkiego lirnika Icchaka Kacnelsona, a skończywszy na wciąż aktywnym Aleksandrze Ziemińskim. Wyszło kilka poważnych antologii „polskiej” poezji żydowskiej, które przekonują o dużej i wartościowej skali tego zjawiska.

Problem emigracji skomplikował się jednak o tyle, że procesowi powrotów towarzyszył proces wyjazdów. Nowa emigracja. Brała ona początek, jak pamiętamy, w stanie wojennym, ale w jej wyniku mamy nowych poetów emigracyjnych. Na czele tej formacji stoi od lat Stanisław Barańczak, lecz nazwisk jest wielokrotnie więcej, ot np.: Tadeusz Chabrowski, Jerzy Gizella, Adam Lizakowski, Andrzej Słomianowski i wielu innych. Czy jest to jednak formacja? Oczywiście, nie! W ogóle pojęcie emigracji tak wiele straciło na swym dawnym znaczeniu, przesłankach, etosie, że chyba dziś już w ogóle nie mamy „pisarzy emigracyjnych”, tylko „pisarzy mieszkających za granicą”. Postępujący proces globalizacji i integracji państw ponad granicami już niebawem wyruguje zupełnie pojęcie „emigracyjności” z naszego słownika.

Wracajmy jednak do kraju. Jedni umierali, inni wracali z emigracji, jeszcze inni wyjeżdżali do Europy i USA – a tu? Tu gwałtownie zmieniała się scenografia, zaplecze życia literackiego. Zawaliła się peerelowska struktura ruchu wydawniczego i tytułów prasowych. Jeden za drugim upadały tygodniki i miesięczniki, które stanowiły krwiobieg literatury. W to miejsce szybko powstawały nowe oficyny i nowe czasopisma, ale tu tkwiła przyczyna określonych zjawisk. Mianowicie środowiskowa opozycja drugiego obiegu, pozacenzuralnego i oficjalnego oraz opozycja dysydenctwa literackiego i – nie wiem jak to nazwać – oportunistycznego lub funkcjonowania w zgodzie z państwem – te opozycje, podstawowe do roku 1989, zmieniły się w opozycję zwycięskiego postsolidaryzmu i przegranego postkomunizmu. To właśnie wyrażało się w nowym układzie pism i wydawnictw. Wpływ na promocję literatury stracił jakkolwiek mecenas państwowy czy partyjny, a zastąpił go lobbying polityczny nowego typu, oparty na lustrowaniu przeszłości. Underground zamienił się w overground i – poniekąd – na odwrót. Niestety, odbyło się to kosztem gwałcenia wartości literackich. Za klasyczny przykład może uchodzić Jerzy Harasymowicz, poeta wybitny i niepowtarzalny, który nigdy nie przeszedł na stronę dysydencką i do dziś przez pisma oraz krytykę pravicową lub „postsolidarnościową” jest spektakularnie pomniejszany w swej wartości. A przecież przykład to nie jedyny.

W sumie nastąpił taki podział, że przyszczaci, którzy zbuntowali się po raz wtóry w latach 1968-1976 i później zajęli – jako poeci – rolę autorytetów. Ich rówieśnicy – uparci socjaliści – otrzymali podrzędny znak jakości i miejsce w tylnych szeregach literatury. A potem rozwinięto wyprany dywan – ogromną przestrzeń pustki, którą zapelniała li tylko nowe nazwiska z postsolidarnościowego narybku i zaciągu.

Tak właśnie przepadła niemal cała poezja lat 60., a zwłaszcza najważniejsze i najliczniejsze ugrupowanie tamtego okresu – Orientacja Poetycka „Hybrydy”. Stawiali ci poeci, jak wspomniałem, na uniwersalizm i estetyczny fenomenalizm liryki, chcieli w symbolu, metaforze, pięknej formule zanotować ulotną urodę świata, metafizyczne paradoksy życia, egzystencjalny sens istnienia. Krzysztof Gąsiorowski, Jerzy Górzanski, Zbigniew Jerzyna, Bohdan Justynowicz, Wojciech Kawiński, Tadeusz Kijonka, Krystyna Miłobędzka, Wincenty Różański, Janusz Styczeń, Roman Śliwonik, Andrzej K. Waśkiewicz, Marek Wawrzkiwicz, w końcu niedawno zmarły Janusz Żernicki – to poeci w wielu przypadkach lepsi, po prostu lepsi od koryfeusza Nowej Fali, lecz właśnie im wyłączono mikrofon. Jasne, że mogą drukować i drukują, nawet ostatnimi laty przeżywają swą twórczą „drugą młodość”, jednak modą sterują mechanizmy promocyjne uzależnione od „nowej poprawności politycznej”.

W takim „polustracyjnym” krajobrazie było w latach 90. miejsce dla młodych. I zostało ono znakomicie wykorzystane. Po pierwsze, pojawiło się wiele pism związanych z młodą literaturą. „Akant”, „bruLion”, „Czas Kultury”, „Fa-art”, „Fraza”, „Fronda”, „Nowa Okolica Poetów”, „Nowy Nurt”, „Przegląd Artystyczno-Literacki”, „Pracownia”, „Topos”, „Tygiel Kultury”... A między tym wszystkim tzw. art-ziny i fan-ziny – pisemka powielaczowe stanowiące model nowego undergroundu, już raczej nawiązujące do wolności typu hippiesowskiego, a nie antypeerelowskiego. Było ich tak wiele, że niektóre już nie istnieją.

Bunt młodych słabo korespondował z rzeczywistością, z realnymi problemami dorosłego społeczeństwa. Polityczne zagrożenia przeszłości znikły, życie kulturalne się spolaryzowało i spluralizowało. Czego więc dotyczy alternatywa? Oczywiście wciąż tego samego: mieszczańskich uzusów i społecznie sankcjonowanych reguł gry. Ale te uzusy i reguły przeżyły rewolucję w ostatnich latach, więc filozofia samizdatu i dziecinnego pokazywania języka, filozofia totalnej anarchii też chyba powinna przejść przynajmniej rewolucję. Żeby jednak burzyć całą ortografię społeczną – trzeba ją najpierw mieć. Rzecz w tym, że może istotnie młodzi jej nie mają, że jest to kod starszych pokoleń, ale oni, szpetni dwudziestoltni, czują się bez miejsca na ziemi? Jakaś postkomuna kłóci się z jakąś postsolidarnością, wszyscy cały czas żonglują jakimiś argumentami w jakichś sprawach – a młodzi czują, że to nie ich świat. Dziś znowu są tylko pokoleniem bez historii, młodszymi braćmi kombatanów ze studenckich strajków i klubów. Ale kultura studencka – ta wielka, ta kreatywna – rozpadła się. Co w to miejsce? Nowe subkultury.

Dla nowych roczników wszystko zaczęło się w latach 80. od odkrycia amerykańskiego ganga-*rap*. Na scenach występowali niepokorni, co głównie objawiło się w amerykańskim sznycie i tym, że ktoś znowu pokazał władzy z estrady goły tyłek. Nadchodziła wysoka fala muzyki techno i hip-hopu, na osiedlowych alejkach kwitła kultura skaterów, blokiersów i normalsów, dorastało Pokolenie X zwane za chwilę Pokoleniem Nic, a wielkomięskimi arteriami przechodził nowy karnawał, tym razem noszący maskę Love-Parade. Tak, my mieliśmy pochody 1-Majowe, nasze dzieci mają Love Parade. Wszystko, co leży między tymi biegunami, jest także cechą pokoleniowej amplitudy poetyckiej.

No cóż, za każdym razem, gdy kolejne pokolenie odbiorców sztuki włącza hamulce – kolejne pokolenie artystów rozpina pasy

bezpieczeństwa i daje czadu. Tym razem zatriumfował styl kontestacji pełen nonszalanckiego luzu i szpanu bezpruderyjnej swobody. Wyzwolenie, obscena, wulgaryzmy stały się podstawowymi narzędziami tego stylu, jego specyficznym kodem. Ucieczka od „języka serio” oraz od „automatycznych tworzydeł” nastroju, patosu, świętości – tradycyjnego modelu emocjonalizmu i estetyzmu – stała się programem. Stąd przeciwna strona barykady muzycznej, czyli disco-polo, była traktowana wręcz jako zdrada i kompromitacja zbiorowych ideałów.

Dlaczego w ogóle nawiązują do muzyki młodzieżowej? Nigdy dotąd tak bardzo młoda literatura nie „kolegowała się” z kulturą masową (w poprzednich rocznikach jej matecznik tkwił w tzw. kulturze studenckiej, zazwyczaj wysokiego lotu). Nawet jeśli dorastała do „wyższej filozofii”, to wyrastała z „masowego” języka. Szczególnie język muzyki stał się głównym wyrazicielem subkulturowych wartości nowych roczników. Od tego, co się działo w dyskotekach, do tego, co się działo w grupach poetyckich, było blisko. Nawet zdarzyły się incydenty, kiedy liderzy zespołów muzycznych usiłowali być także idolami poetyckimi.

Cała ta formacja, zwłaszcza debiutująca w art-zinach i fan-zinach, poszła na kpinę, luz, prześmiewczość i odwrócenie się od tradycji oraz świata swoich ojców z jakimś bezlitosnym, dadaistycznym rechem.

Z drugiej strony były środowiska „bruLionu” czy „Frondy” – ostro prawicowe – które stanowiły jakby pokoleniowe przedłużenie buntu solidarnościowego, wymierzonego we wszystko, co trąciło dawną lewicą i Peerelem (w ogóle lewicowość przestała być wśród młodzieży trendy). Zdawało się po 1989 roku, że ten mechanizm upadnie, że artyści na łamach artystowskich pism będą się kłócić np. o sens koloru w malarstwie czy egzystencjalizmu w literaturze. A skądże! Artyści kłócą się wciąż na klepisku ubitym przez politykę. Tu jest postkomuna, a tam antykomuna, tu prawica, a tam lewica, tu obrońcy wartości chrześcijańskich, a tam przedstawiciele kultury śmierci.

W ten turniej dali się wciągnąć młodzi. Starzy już z niego nie wyjdą – to był cały ich świat, ich historia, ich walka o partię i przeciw partii, o „Trybunę Ludu” i „Tygodnik Powszechny”. Sami sobie zgotowali ten los. Cezura 1989 roku jest cezurą zamykającą świat „strasnych ojców”. Ale co w krajobrazie po bitwie robią młodzi? Skąd się tu wzięli i po co?

No cóż, dali się wciągnąć? Ale w co? Dwudziestoltni skini nienawidzą Żydów, ich rówieśnicy z Ligi Republikańskiej nie znoszą tygodnika „Nie”, studenci gardzą lewicowym ministrem edukacji; urodzeni po 1981 roku w rocznice wybuchu stanu wojennego protestują pod domem generała Jaruzelskiego; młody poseł jedzie złożyć wyrazy szacunku generałowi Pinochetowi... Czy to są naprawdę problemy tego pokolenia?

Czy autorzy o politycznym temperamentcie nie mają racji? Ależ tak, w wielu szczegółach mają. Sęk w tym, że karmią i podsycają własny bunt wobec rzeczywistości obcej, rzeczywistości spoza własnego doświadczenia. To bardzo osobliwa odmiana buntu – zapożyczonego z towarzysko-salonowych układów. Lub z podręcznika historii. W środowisku literackim wciąż bunt wynika z tego, że „tak wypada”. Bo z góry wiadomo, jaki język obowiązuje po tej czy tamtej stronie linii demarkacyjnej, dzielącej polskie społeczeństwo.

Bunt ma sens, jeśli dotyczy świata aktualnego, rzeczywistości dziejącej się wokół. Wtedy jest walką, niesie ryzyko, wymaga odwagi. Pohukiwanie polegające na włączaniu się w historyczne spory – to

imitacja buntu. W kwestiach przeszłości można zająć stanowisko, w sprawach teraźniejszości trzeba czegoś więcej. Młodzi poeci zajęli swoje stanowiska po lewicy i po prawicy; prawidłowo, gdyby nie fakt, że ich bunt jest w większości przypadków kopaniem piłki do jednej bramki i to według gotowej ściągawki z salonowych rankingów. Karty są rozdane. Żadna niepokorna myśl się nie przedrze. Bunt jest rozpisany na role, głosy, argumenty. Spróbuj podskoczyć!

Jest to osobliwa szamotanina. Niemal cała „polityczność” młodej poezji odnosi się do przeszłości lub jest wzorowana na jej schematach i namiętnościach, zaś cała niezależność i wolność tejże poezji jest rodzimą odmianą nonszalanckiego „izirajderstwa” i hasła „cool” wyhaftowanego na sztandarach filozofii życiowej. *Jestem w nastroju nieprzysiadalnym* – napisał kiedyś Marcin Świetlicki i to niepozorne zdanie może być traktowane jako dewiza pokolenia. Ono nie chce się przysiąść do nikogo i do niczego. Twierdzą, że młodzi – jak na razie – nie znaleźli w sobie siły, by wyartykułować tzw. trzeci głos. Głos ponad starymi dychotomiami, antynomiami i układami. Głos wynikający z samodzielnej oceny polskich powikłań, samodzielnej wizji polskich szans.

Jest jeszcze inna perspektywa. Może rzeczywiście generacja „zbuntowanych” debiutantów z lat 90. i ich następcy powinni otworzyć nowy rozdział kultury: ignorować to, co hasłowo nazywam „polską rzeczywistością”. Ignorować literaturę „obowiązku obywatelskiego”. Złożyć wreszcie broń wszelkiej walki i zająć się „rzeczywistością uniwersalną”. Sensem istnienia – bez polityki, etyką – bez historii, życiem – ale własnym. Może nowa literatura powinna stać się literaturą zwierzeń, a nie rozliczeń, miłości – a nie walki, słuchania – a nie krzyżowania, poznawania – a nie pouczenia? Może. Tylko wtedy wszelki bunt i butę należy odłożyć do lamusa jako rekwizyty z innego świata. Trzeba kontrkulturowość i anarchizowanie uznać za „ćwiczenia wieku młodzieńczego”, trzeba odnaleźć w życiu, w losie tę skalę dramatu, o jakiej umieli pisać Jarosław Iwaszkiewicz, Mieczysław Jastrun czy Zbigniew Herbert. Program „nowego hamletyzmu” byłby zapewne bardziej owocny niż demonstracja wyleńskiego buntu.

Ale bunt nie przemija, bunt się ustatecznia – jak pisał Grochowiak. Klasyccy dawni luzacy, jak Marcin Świetlicki czy Jacek Podsiadło, zaczynają być coraz bardziej poważnymi i liczącymi się poetami. Dobrymi poetami. I poza owym nachalnym upolitycznieniem a naiwnym wygłupem młodej poezji wyrasta jednak las nazwisk nie-dający się ująć w żadną deprymującą formułkę. Bo dziś nie ma już grup programowych, nie ma poezji manifestów, nie ma szkół ani nurtów koncepcyjnych czy formalnych. Postmodernizm zrobił swoje. Młodzi mogą tworzyć wspólnotę wokół pisma, które ich promuje, mogą nawet w tej wspólnotce poczuwać się do powinowactwa światopoglądowego, ale chcą pisać na własny rachunek. Tradycja została dorżnięta jak stara, wysłużona kobyła. O Peiperze mało kto wie, o Przybosiu się nie pamięta, Grochowiaka niemal w ogóle się nie publikuje, o Brzękowskim czy Zagórskim słyszeli tylko poloniści, Skamandrycy żyli trzysta lat temu, Białoszewskiego zakasowali późniejsi lingwiści, wiersz „postróżewiczowski” czy „postherbertowski” nie jest już żadnym modelem, który można świadomie wybrać i kultywować... Tu może jest gdzieś ścieżka stanowiąca początek owej trzeciej drogi. Nie potrafię jej nazwać. Ale wiem, że poeci Świetlicki i Podsiadło, Bożena Ptak i Marcin Baran, Eugeniusz Tkaczyszyn i Jarosław Mikołajewski, Andrzej Sosnowski i Ewa Sonnenberg, Janusz Drzewucki i Marzenna Kielar, Lilla Latus i Agnieszka Herman... W końcu najmłodszy, np.

Agnieszka Lisak, Agnieszka Wesołowska, Przemek Szubartowicz, Jerzy Franczak... to oni, to ci z wielu, do których nie odnoszą się kąśliwe uwagi powyższego tekstu. I jest opolanin Tomasz Różycki. Może od niego zaczniesz się „nowe pokolenie”, na jakie czekam?

Jedno jest pewne. W latach 90. wraz z kulturą i formacją PRL-u minął pewien porządek literacki. Niezbędny był remanent i orzeźwiająca kąpiel. Trochę wylano dzieci z tą kąpielą, trochę manka dopisali nadgorliwi rewizorzy, a reszty dokonała biologia, która wypuściła na ring miot młodych chartów i owych tratujących ziemię bizonków... Za odchodzącymi klasykami patrzymy – niezależnie od ich orientacji światopoglądowej i politycznej – stęsknionym wzrokiem, ich młodszych braci postrzegamy jako stracone pokolenie, a tych najmłodszych nie rozumiemy. Jak zwykle. Ale i im trudno się określić w tym koszmarnym rozchwianiu aksjologicznym, pośród erozji etosów, rozpadu modeli i wzorców, na przełomie tysiącleci. Może to jest jakaś odmiana dekadentyzmu sprzed stu lat?

Wydaje mi się, że poezja debiutująca po 1989 roku powoli uczy się istnieć poza afrodyzjakiem „stanu wyjątkowego”. To w Polsce trudna sztuka, jeśli weźmiemy pod uwagę nawyki ciągnące się od romantyzmu. Więc tak nagle wyskoczyć z kawalerskich siodła i z syndromu „obłąkanego miasta”? Porzucić dylematy rozdartych sosen, przestać przeciągać linę pomiędzy „ja” a „my” oraz „my” i „oni”, zaniechać wartościowania ludzi na Rejtanów i oportunistów, otrząść z bryczesów drobinki styropianu, wyrzucić z głowy Westerplatte, Katyń, Jałgę, Poznań, Gdańsk, Ursus, Radom i inne stacje męki narodowej, układać krzyże z wierszy, wygrażać pięścią słowa...

Karabelę zostawić na strychu? Jakże to?

## Leszek Żuliński

P.S. Ten szkic miał kilka wcześniejszych mutacji. M.in. był posłowiem w tomie III „Poezji polskiej. Antologii tysiąclecia” (Wydawnictwo IBiS, 2002). Wydaje mi się tekstem istotnym, „diagnostycznym”, dlatego po kolejnej „kosmetyce” postanowiłem go przypomnieć.

**Leszek Żuliński** (ur. 25 sierpnia 1949 r. w Strzelcach Opolskich), krytyk literacki, poeta, publicysta, felietonista. Debiutował na łamach prasy w 1971 r. Ukończył studia w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego (1973). Jest autorem 21 książek poetyckich i krytycznoliterackich, ponad 3 tysięcy publikacji prasowych, ponad 10 almanachów i antologii poetyckich. Jego utwory były drukowane w ponad 20 antologiach, jego szkice – w ponad 20 pracach zbiorowych, poza tym jest autorem wstępów i posłowi do ponad 80 książek innych autorów. Laureat i juror wielu konkursów literackich. Członek Związku Literatów Polskich od 1980 r.

Po raz dwunasty przyznano nagrody kulturalne prezydenta Gorzowa. Motyle – rzeźby Andrzeja Moskaluka – pofrunęły do dyrygentki chóru „Cantabile” – Jadwigi Kos, Lidii Przybyłowicz – odchodzącej niebawem na emeryturę, dyrektorki Wydziału Kultury Urzędu Miejskiego i Ireneusza Krzysztofa Szmidta – redaktora naczelnego „Pegaza Lubuskiego”.

## Nagrody Prezydenta

Motyle przyznawane są w dwóch kategoriach: za całokształt twórczości lub działalność w kulturze oraz za dokonania w minionym sezonie. W tym roku trzech laureatów zostało uhonorowanych za całokształt swojej pracy w sferze kultury. Statuetki otrzymali w Sali BWA.

**Jadwiga Kos** 16 lat temu założyła gorzowski chór „Cantabile”. Kieruje nim do dziś. Rok temu, podczas świętowania 15. urodzin chóru, chórzyści wręczyli dyrygentce swojego Motyla. W sobotę Jadwiga Kos odebrała nagrodę za twórczą pracę z rąk prezydenta Gorzowa.

Drugą laureatką nagrody kulturalnej prezydenta Gorzowa jest **Lidia Przybyłowicz** – dyrektor Wydziału Kultury w gorzowskim magistracie. Motyl jest uhonorowaniem 37 lat pracy na rzecz promowania kultury w naszym mieście.

Również za całokształt pracy Motyl pofrunął do **Ireneusza Krzysztofa Szmidta** – poety, krytyka literackiego i teatralnego, prezesa gorzowskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Szmidt jest autorem wielu utworów opublikowanych w sześciu indywidualnych książkach poetyckich, w kilkunastu almanachach i antologiach oraz kilkudziesięciu czasopismach. Założył pismo literackie „Pegaz Lubuski”, którego jest re-



daktorem naczelnym. Od wielu lat organizuje warsztaty literackie, pomaga młodym poetom w wydawaniu ich tomików poezji.

Na inauguracji sezonu artystycznego uhonorowano odznaką „Zasłużony dla miasta Gorzowa” jeszcze jedną przedstawicielkę środowiska literackiego – Iwonę Kusiak, dramaturga i kierownika literackiego Teatru im. J. Osterwy, autorkę kilku dramatów, w tym granych na gorzowskiej scenie „Czekaj” i „Zapach żużla”.

## Nagrody Marszałka

Członkowie Zarządu na posiedzeniu 12.10.2010 r. zaakceptowali propozycje kapituły oceniającej nadesłane wnioski kandydatów do Nagród Kulturalnych Marszałka Województwa Lubuskiego oraz nagród honorowych Złoty Dukat Lubuski za wspieranie i promowanie życia kulturalnego regionu.

### Indywidualne Nagrody Kulturalne Marszałka:

**Ireneusz Krzysztof Szmidt** – literat, krytyk teatralny i literacki. Prezes Zarządu Oddziału Związku Literatów Polskich w Gorzowie Wlkp. Autor wielu książek i utworów opublikowanych w antologiach, almanachach, i czasopismach. Założyciel i redaktor naczelny pisma literackiego „Pegaz Lubuski”.

**Maciej Wróblewski** – zielonogórski artysta, uznany w regionie i kraju – muzyk i kompozytor.

### Nagroda zespołowa: Zespół Cantores Viridimotani

– założony w 1994 r., należy do czołówki profesjonalnych polskich wykonawców dzieł muzyki dawnej, zwłaszcza renesansu i baroku.

### Nagrody za wspieranie i promowanie życia kulturalnego regionu „ZŁOTY DUKAT LUBUSKI”:

**Józef Lenart** – Prezes Zarządu Poszukiwań Naftowych „DIAMENT” Sp. z o.o – jego osobiste zaangażowanie w rozwój kultury w regionie sprawia, że spółka, którą kieruje, od lat wspiera finansowo i organizacyjnie różnorodne przedsięwzięcia organizowane przez instytucje i stowarzyszenia kulturalne.

**Leszek Marciniak** – Dyrektor Muzeum Ziemi Wschowskiej – inicjator i pomysłodawca wielu imprez i wystaw muzealnych.

## Ireneusz Krzysztof Szmidt

Urodził się 16 września 1935 r. w Zgierzu. W 1955 r. wraz z grupą przyjaciół powołał przy Politechnice Szczecińskiej Akademicki Teatr Satyryczny „Skrzat”. Odtąd teatr stał się jedną z jego pasji, a następnie zawodem, po skończeniu w 1967 r. Studium Teatralnego przy krakowskiej, a na IV roku warszawskiej PWST. Swoje doświadczenia artystyczne zawarł w książce „Mój warsztat teatralny” (COMUK, Warszawa 1975).

Wydał sześć tomików poetyckich: „Kreska na twarzy” (Poznań 1961), „Człowiek, ziemia i morze” (Warszawa 1964), „Listy z zimy” (Warszawa 1966), „Spora milczenia” (Gorzów Wlkp 1999), „Ludzkie pojęcie” (Gorzów Wlkp. 2005) oraz „Grzeszne rzemiosło – wiersze miłosne 1955-2009” (Gorzów Wlkp. 2009). Opublikował także, w dużym nakładzie, żartobliwy poemacik dla dzieci pt. „Tata ma fiata” (Szczecin 1989). W listopadzie 2000 r. w Teatrze im. J. Osterwy w Gorzowie Wlkp. odbyła się premiera jego dramatu pt. „Medea czyli kameralna tragedia rodzinna niewiernie przepisana z Eurypidesa”.

Wiersze, opowiadania, scenariusze, reportaże, recenzje literackie i teatralne publikuje w prasie centralnej i regionalnej, gorzowskiej i szczecińskiej. Jego utwory weszły także do licznych almanachów i antologii (m.in. WJP 2004-2010), przekładane były na język czeski, łotewski, rosyjski, niemiecki. Od 1965 r. I. K. Szmidt jest członkiem Związku Literatów Polskich. Od 2004

r. jest prezesem Zarządu gorzowskiego Oddziału Związku Literatów i członkiem Zarządu Głównego. Za osiągnięcia na polu upowszechniania teatru i literatury wielokrotnie nagradzany i odznaczany. Ostatnio – w 2005 r. Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, a w 2009 Medalem Gloria Artis.

Czterdzieści lat mieszkał i pracował w Szczecinie, od 1994 r. związał się osobiście i twórczo z Gorzowem. W latach 1994-2004 był współwydawcą miesięcznika kulturalnego „Arsenal Gorzowski” i współwłaścicielem Wydawnictwa Artystyczno-Graficznego „Arsenal”. W latach 1994-2008 był recenzentem teatralnym tygodnika „Ziemia Gorzowska” i członkiem redakcji miesięcznika „Top-Biografie” w Warszawie. Obecnie współpracuje z kwartalnikiem „Pro Libris”. Jest założycielem i red. nac. czasopisma literackiego „Pegaz Lubuski”, które wydaje pod auspicjami ZLP i WiMBP. Tamże wydaje książki poetów i prozaików gorzowskich w serii Biblioteki Pegaza Lubuskiego. Dzięki życzliwości władz miasta i przyjaciół literatury powstającej w Gorzowie dotychczas ukazało się 35 książek tej serii.

**kontakt:** e.mail – i.k.szmidt@wp.pl; www.ireneuszszmidt.pro.wp.pl; www.zlp.gorzow.prv.pl;

## Natalia Pałczyńska

\* \* \*

jestem penelopa  
żona odysa króla itaki  
którego statek wyszedł w morze po zburzeniu troi

próbowałam utkać sobie spokój  
niczym morskie fale  
wśród których igrały wyszywane delfiny  
a wojenny okręt pod pełnymi żaglami wychodził z portu

moje krosna wprawiały w ruch wszystkie zegary na wyspie  
gdybym pewnego dnia przestała tkać  
zatrzymałaby się ziemia  
fale przestałyby bić o skalisty brzeg  
i na nowo zapanowałby chaos

wyśniłam setki zakończeń:  
mnóstwo niebezpiecznych przygód  
na otwartym morzu i piersiach innych kobiet  
prułam fragment materiału ilekroć ich twarze  
zdawały się delikatniejsze od mojej

obawiałam się że wróci  
i zażąda otwarcia drzwi do sypialni  
tymczasem zapomniałam  
jak to jest  
kłaść się co wieczór u boku mężczyzny  
nie pamiętam już czego mógłby chcieć  
kiedy kładzie wzrok na kobiecych udach  
wątpię też by zapach jego skóry  
otulał szczelniej niż stabilny półmrok

jestem penelopa  
żona odysa króla itaki  
którego statek wchodzi do portu dziesięć lat po zburzeniu troi  
a wyszywane delfiny nie wiedzą  
czy prują fale ze szczęścia czy z rozpaczy

AA

przez Twoje dłonie sączy się warszawa  
puchnie pod powieką  
wycina wzory na skórze  
na rzęsach jeszcze tłą się gwiazdy

stara cyganka wróży z ręki na krakowskim  
głód wyostrza wzrok  
ja widzę tylko torowisko po którym sunie tramwaj 26  
wysiadam dwa przystanki od pętli  
z Twoich ramion

zamykam Ciebie w nader prostych rytuałach  
wrosłeś w prześcieradła żaluzje i oddech  
poranna kawa chodzi w Twoich kapturkach  
jeszcze jeden łyk szczęścia  
gorąca prośba

rozpinam wieczór na Twoich biodrach  
księżyc topi się w czerwonym winie  
na odwyk mnie nie stać  
9 czerwca 2010

## Z. Marek Piechocki

### Wysokie PSA

A oto salka w szpitalnych bielach  
Tylko kozetka i kilka krzeseł  
Stojaki obwieszane workami z płynem kroplówek

Na kozetce trzech  
I jeszcze trzech na krzesłach wokół stojaków  
Ręce położone na kolanach  
Na jednej z nich utknięty wenflon

Nabożeństwo wchłaniania  
*Dłonie trzymać proszę luźno  
To jest płyn z antybiotykiem  
Później będzie jeszcze wlew*

Kilku patrzy ze znakiem zapytania w oczach na sąsiadów

– Lewatywa – mówię półgłosem  
– Aha...

*Po wszystkim proszę usiąść przed drzwiami z numerem 623*

– Jakim wszystkim? Pyta szczupły całkiem siwy.  
– No, jak już się pan wypróżni i umyje  
– Jest tam też łazienka  
– Aha...

Milczymy  
Krople spadają  
A nad nami unosi się niemówione śmiertelnie  
poważne słowo  
BIOPSJA

*Wynik za około dwa-trzy tygodnie  
Odbiór osobisty lub najbliższa rodzina*

Arytmetyka strachu  
Liczenie dni

## Jerzy Hajduga

### Dyżur

nasze łóżko tyle lat aż żal  
w kącie pod ścianą  
na nim od trzech nocy  
czy ty  
czy ja

### Nikogo tutaj

w rozpalonym ogrodzie tylko  
nasze ciała w liściach  
dorzucone

szukamy siebie nie siebie  
zsuwa się ostatni  
rysuje gałąź

## Monika Kaczmarek

\* \* \*

nie boję się  
zwierzęcych nas  
potu pościeli płam  
zakotłowania nocnego

nie boję się  
odkąd jesteśmy  
i znam twoje oczy  
koloru ciepłego drewna  
domu moich marzeń

nie boję się  
bo ranne pocałunki wiara  
umacniają mnie  
w uczuciach z pogranicza  
obłądzenia i harmonii

nie umiem się bać  
jestem boginią i słowem  
tworzę  
dobro miłość nas  
jednym tchem ustawiam  
obok siebie najwłaściwiej

## Magda Turska

\* \* \*

a jest mi tak że umrę  
za to życie  
przeżyte jeden raz  
bo nie mam ikonostasu  
który za mną stoi

miłość na cztery spusty  
bez odwagi  
nie dosięga nadziei  
bylejakość  
bylenicość  
bez poznania

a jest mi tak że umrę  
i nie zaśpiewam  
Niech żyje bal  
bo nie mam tabernakulum  
a westalki poszły na ulicę  
tli się żądza iluminacji  
w gnieździe bez bocianów  
dręczy opór  
do Afryki za daleko  
o krok

## Marcin Słowiński

### Czas klęski

Wciągnięty w melinę prywatnych demonów,  
co gwałcą serce, plują w twarz.  
Do krwiobiegu wstrzykiwana powoli melancholia,  
sparaliżowane mięśnie twarzy,  
rozmowa z ludźmi, uśmiech  
pracą Syzyfa.  
Subtelna, niepokalana aborcja obłądzenia  
pozwala raz jeszcze, wstać z łóżka...  
na jak długo?

### Rozplątanie

Zwijasz sznurek w kłębek Siebie  
zwijasz go powoli, starannie, kołtuni się chwilami...  
barwny, blade niekiedy,  
gdzieś nadszarpięty prawie pękły czasami.  
Każdej wiosny sprawdzasz czy dobrze rośnie.

Nie zamyślaj się o wczoraj  
nie będzie duszne śniadanie,  
praca, telewizor, prysznic,  
na co ci kołtuny?

Rozplątanie przychodzi codziennie  
tylko bardziej śnij  
bardziej zobacz rano  
bardziej dotknij kłamki  
otwieraj wszystko na wyciągnięcie wzroku.

## Joanna Ziemińska-Kurek

### ...i Bóg stworzył Adama

Szliśmy ku sobie  
najpierw musiał zaważyć się świat

teraz – biała nitka na niebie  
pokazuje drogę ku północnej gwiazdzie  
wystarczy podać rękę  
prosto  
twojej jasnej dłoni.

### Przeprowadzam się za morze

Wolno pakuję przestrzeń  
lata starań ścieram jak gumką  
sprawy ważne dzieję  
na pół na ćwierć na żadne  
myśli ulatują  
papiery jak ptaki  
trochę smutku  
trochę melancholii  
muszą wystarczyć  
spakowane w podręczny bagaż  
w sercu –  
bilet na nowe życie.

## DEBIUT

### Tomasz Korbanek

#### Nocna impresja I

Sygnal pędzącego pojazdu  
przerywa ciszę.  
Narastające dźwięki  
uderzają w okna  
niebieskim światłem.

Pięciominutowa pauza.

Na oświetlonej jezdni  
ślady deszczu.

#### Nocna impresja II

Jazgot warczących opon  
spłoszył wrony

Świdrujące światła karetki  
zmałyły hipnotyczny spokój

Płoną jaskrawe latarnie  
i skwierczą szerniałe gałęzie

Mgła powoli opada  
na stygnący asfalt

\* \* \*

Wrześniowym rankiem  
nad gałęziami gwiazdy  
– drobiny nasion.

\* \* \*

Późna godzina  
zagłada przez firankę  
okiem latarni.

### Tomasz Korbanek

Urodzony 4 listopada 1985 r.  
Absolwent Państwowej Wyższej  
Szkoły Zawodowej w Gorzowie  
Wlkp. Interesuje się psycholo-  
gią, akwarystyką i dobrą lite-  
raturą. Wiersze pisze od ponad  
roku.

Ulubieni poeci: Leopold Staff,  
Krzysztof Kamil Baczyński,  
Czesław Miłosz, Zbigniew Her-  
bert oraz poeci okresu baroku.

Z cyklu „Wielka wieś Ameryka”

## Samochody

Dziś drugi fragment cyklu reportażu Ludwika Lipnickiego, które napisał po dłuższym pobycie w Stanach Zjednoczonych

W Ameryce trzeba mieć samochód. Wymuszają to odległości oraz wygodnictwo. Przyglądałem się, jak młody Amerykanin podjechał do okienka obsługującego kierowców i zamówił coś do jedzenia. Podjechał do drugiego okna – odebrał jadło. (U nas też są już takie udogodnienia, wiem.) Odjechał na parking odległy o kilkanaście metrów – wciąż nie wysiadając z samochodu – spokojnie zjadł to, co kupił, następnie objechał cały budynek po to, żeby przy tych samych okienkach kupić coś do picia. Wrócił na parking i – nadal w samochodzie – palił papierosa popijając tenże napój. Wysiadł dopiero wtedy, gdy musiał wejść do baru, żeby skorzystał z toalety.

Amerykanin nie ma dowodu osobistego, co najwyżej paszport. Ale prawo jazdy mieć musi. Otrzymuje je kończąc szkołę średnią, a przedmiot „nauka jazdy” należy do obowiązkowych. Zmieniając adres – zmienia prawo jazdy. Nie powinny nas zatem rozbawiać anegdoty o tym, że w Ameryce wystarczy okazać prawo jazdy, żeby zmienić stan cywilny. Rola tego dokumentu jest zdecydowanie większa niż u nas. Utrata prawa jazdy, na przykład zatrzymanie go przez policję z powodu wykroczenia drogowego, naraża kierowcę na kłopoty nieporównywalnie większe niż w Polsce.

Ameryka to rozległy kraj, a samochodem jeździ się nie tylko do pracy. Pojazd powinien być wygodny, a to znaczy, że szeroki i długi. Musi mieć wygodne fotele, oczywiście z regulacją wysokości i odległości od kierownicy. Należy też przy tym brać pod uwagę gabaryty ciała kierowcy lub pasażera. Duży samochód – to duży silnik (standardem są ponad trzylitrowe), a duży silnik to wysokie spalanie i pojemność baku. Ma to oczywiście związek z ceną paliwa. Chociaż ostatnimi czasy ono podrożało, to i tak jest relatywnie tanie. Benzyna jest co najwyżej 92-oktanowa, a powszechne jest tankowanie 87- i 89-oktanowej. Silniki spalają co najmniej po kilkanaście litrów na 100 kilometrów. I stąd przewaga dużych samochodów na amerykańskich ulicach.

Amerykanie mają po kilka pojazdów, ale w garażu zazwyczaj nie ma miejsca nawet na jeden. To pomieszczenie jest składzikiem, podręcznym warsztatem albo zawaloną pod sam sufit rupieciarnią. Piwnica, jeśli jest, to albo została już dawno dokładnie zagracona, albo zrobiono z niej nieduże mieszkanko do wynajęcia. Co jakiś czas zawartość garażu jest przeglądana i... O nie, nie jest wyrzucona. Co to, to nie...

Posiadanie samochodu jest w Ameryce tak oczywiste, jak zamieszkiwanie we własnym domu lub w wynajętym mieszkaniu. Po prostu – samochód, tak jak stały dach nad głową, trzeba mieć. Wszystko jedno: mały czy duży, stary czy nowy. A najlepiej kilka dużych i niezbyt leciwych. Jeśli ktoś chodzi pieszo – to albo ma jakiś psychiczny defekt i lekarz nie pozwala mu zasiadać za kierownicą, albo jest narkomanem lub notorycznym przestępcą drogowym, któremu policja zatrzymała prawo jazdy za prowadzenie pod wpływem środków odurzających lub łamanie przepisów drogowych. Ostatecznie, może to być jakiś dziwak. W każdym razie jest to ktoś, kto w jakiś tam sposób odstaje od normalnych, spokojnych konsumentów codziennego amerykańskiego chleba i trzeba wobec niego wykazać czujność.

Samochód ma się po to, żeby korzystać z niego; no, chyba że mówimy o Witusiu i jego cadillacu. Samochodem jeździ się do pracy, po zakupy, za miasto, także do znajomych, do restauracji lub baru, na spacer do parku albo po galon wody na herbatę do pobliskiej stacji benzynowej – nawet jeśli to jest tylko odległość nie większa niż sto metrów.

Dwójka przyjaciół – jeden z nich to syn mojego znajomego z Drezna – wybrała się na wakacje do Stanów. Jako studenci otrzymali zezwolenie na dwa miesiące pracy, a zarobione pieniądze postanowili przeznaczyć na miesięczną wędrowną podróż po Ameryce. Z wynajętego mieszkania (tam nazywa się ono „apartament”)

do miejsca pracy było niecałe pół godziny spaceru – postanowili chodzić pieszo. Jakież było ich zaskoczenie, gdy już pierwszego dnia rano, a było to około wpół do szóstej, z piskiem opon zatrzymał się przy nich policyjny radiowóz, z którego wyskoczyło dwóch funkcjonariuszy. „Ręce na maskę!” – wraz z niemalże rzucającym na pojazd, „Nogi szeroko!” – padały krótkie, bezdyskusyjne polecenia poparte groźną miną. Zaraz po tym – fachowe (jak w filmie o policjantach z Miami) obmacywanie – zapewne w poszukiwaniu broni lub narkotyków – i uważne czytanie wyciągniętych im z kieszeni dokumentów. Dopiero teraz zaczęły się pytania: dokąd? po co? Ciężko wystraszeni, ale na szczęście obaj dobrze posługujący się językiem angielskim, zdołali się jakoś wytłumaczyć. Ale dlaczego idą pieszo? Czyżby nie mieli prawa jazdy? Oczywiście mają te dokumenty, ale pieszo chodzą dlatego, że po pierwsze – to nie jest daleko, po drugie – przyda im się trochę ruchu dla zdrowia, a po trzecie – nie chcą trwonić zarobianych pieniędzy na zakup samochodu, który nie jest im potrzebny, tym bardziej że zarobione dolary chcą przeznaczyć na późniejszą wyprawę po Stanach. Stróż prawa nie zostali w pełni przekonani, bo zadeklarowali podwiezienie do miejsca pracy, a tam zweryfikowali opowieść o zatrudnieniu i wypytali pracodawcę o stan psychiczny nowych pracowników. Następnego dnia nasi pechowcy na wszelki wypadek wyszli kilka minut wcześniej i wybrali inną trasę. I znowu ta sama sytuacja. Tym razem był to inny patrol, więc wszystko trzeba było od nowa tłumaczyć. Po trzecim dniu zaczęli już się zastanawiać, czy rzeczywiście nie kupić jakiegoś rzęcha – ot tak, dla świętego spokoju. Na szczęście miejscowy komisariat dysponował chyba tylko trzema załogami, bo czwartego dnia z mijającego ich radiowozu policjanci tylko pomachali ręką na powitanie. I tak było już we wszystkie następne dni. Stali się znani i rozpoznawalni do tego stopnia, że pewnego razu jeden z tych już przecież znajomych policjantów zaapytał z troską: „Czy musicie zarabiać na drogi samochód? Przecież za niewielkie pieniądze możecie sobie kupić jakieś kilku- lub kilkunastoletnie auto”. Amerykanom nie mieści się w głowie, że ktoś naprawdę woli chodzić niż jeździć.

Ulice (nie mówiąc o autostradach) nawet w niewielkich miejscowościach są szerokie i mają porządną, równą nawierzchnię. Te ich cechy oraz oznakowania i sygnalizacja świetlna bardzo ułatwiają jeżdżenie nawet w godzinach szczytu. Ani w granicach miejscowości, ani poza nimi, nie ma zmyr niektórych naszych dróg – zaprzęgowy konnych (poza z daleka widocznymi bryczkami Amiszów) oraz rowerzystów. Na całej amerykańskiej trasie liczącej kilkanaście tysięcy kilometrów spotkałem tylko trzech rowerzystów – każdego z osobna. Jechali poboczem autostrady, a ich rowery objuczone były sakwami i innymi bagażami. Byli to typowi cykliści-podróżnicy. Zastanowiłem się, jaką cechę trzeba posiadać, żeby w podróż przez kontynent wybrać się rowerem. Czy wystarczy sama cierpliwość?

W Ameryce nie ma chodników przy jezdniach. Bo i po co? Przecież samochody nie mogą po nich jeździć. Owszem, gdzieśgdzie, np. koło parku, placu zabaw lub przy szkołach są chodniki. Nasi, zatrzymywani przez policję młodzi poszukiwacze przygód szli skrajem jezdni, bo z boku był – jak to niemal wszędzie na amerykańskiej prowincji – tylko porządny trawnik. Jest bardzo prawdopodobne, że któryś z mieszkańców, widząc dwóch nieznanymi osobnikami idących, a nie jadących, i to jeszcze o tak wczesnej porze, zawiadomił policję. Mógł to też zrobić jakiś kierowca... Ktoś, kto jest obcy, a przy tym odstaje od przyjętej normy, inaczej się zachowuje – jest postrzegany jako dziwny i tym samym niebezpieczny. Amerykanie czują się do obowiązku reagowania na nietypowe zachowania, szczególnie nieznajomych. I to, między innymi, buduje ich poczucie bezpieczeństwa.

## Chleba naszego...

Koniec wyprawy. Dwa miesiące spędzone w podróży zleciały jak z bicza trzasnął. Chociaż w niektórych miejscach zatrzymaliśmy się na kilka dni, to przejechaliśmy – przykładając naszą miarę – kilka razy odległość z Lizbony do Moskwy...

W ostatni dzień, po czterech godzinach jazdy, zjawiłem się na lotnisku O'Hare w Chicago już na pięć godzin przed odlotem samolotu. Miałem więc dość czasu, żeby spokojnie w myślach spróbować podsumować całą eskapadę i zapisać jakieś ostatnie uwagi. Przez okna terminalu i z tarasu widać było nadciągające zwały chmur. Z nudów wyliczyłem, że z tego mojego północnego wycinka nieba kolejne samoloty zbliżają się do lądowania co 20-30 sekund. A nie był to jedyny kierunek przylotów... Chmury z czasem zrobiły swoje i rozpętała się burza z deszczem i piorunami. Nie próbowałem wyciągać z tego żadnych wniosków, ale... start samolotu do Warszawy był spóźniony, czyli do pierwotnie planowanych pięciu godzin oczekiwania doszły dwie następne.

Zdałem walizkę ze wszystkimi cennymi, nie tylko naukowymi, zdobyczami i – powodowany brzydką przypadłością zapalenia ostatniego przed odlotem papierosa – wyszedłem na taras. Nieopodal popielniczki, jakieś 2-3 kroki ode mnie, stało dwoje młodych ludzi. Któraś z nich gdzieś odlatywało, bo wyglądali na żegnających się przed dłuższym rozstaniem. „Zapewne nie jest Amerykanką” – pomyślałem, dyskretnie szacując wzrokiem ładną i zgrabną kobietę... Pstryknąłem zapalniczką i zaciągnąłem się dymem. „Przepraszam, czy mogę skorzystać z ognia?” – grzecznie po angielsku poprosił młody mężczyzna. Podałem mu zapalniczkę, a gdy ją oddawał, powiedziałem, że mam jeszcze jedną i tę może sobie zatrzymać. Podziękował i schował zapalniczkę do kieszeni. Po chwili podchodziłem do popielniczki i niechcący usłyszałem to, co najprawdziwszą polszczyzną mówił do swojej towarzyszk, wskazując na mnie wzrokiem. „To jest możliwe tylko w Ameryce i u Amerykanów. Zobacz, gość ma dwie zapalniczki, więc jedną bez wahania oddaje nieznanemu. A w Polsce?... Polak nawet gdyby miał pięć zapalniczek, to nie da ci żadnej. Polak to i chleba by pożałował...” Uff! No comments.

Podczas pobytu na tarasie zainteresował mnie jeszcze inny obrazek. Na przystanek chicagowskiej miejskiej komunikacji co kilka minut podjeżdżają autobusy. Większość pasażerów ma ciężkie torby i walizki – wiadomo, udają się w daleką podróż. Zawsze przy wysiadających pojawia się kierowca pojazdu – niezależnie od tego, jakiej on i pasażerowie są płci, w jakim są wieku oraz jaki jest kolor ich skóry. Z życzliwym uśmiechem pomaga wsiąść starszym osobom, wynosi bagaże, gdy trzeba – rozkłada wózek dla dziecka lub chodaczek-podpórkę dla osoby starszej. Takie sceny mają miejsce podczas przyjazdu każdego autobusu.

Podczas odprawy celnej zainteresowanie wzbudziła zawartość mojego osobistego, podręcznego bagażu. Niewysoki, z pasmami siwizny na skroniach, około pięćdziesięcioletni celnik, bystrym wzrokiem lustrował akcesoria komputerowe i fotograficzne. Jego dłonie wręcz myszowały po zakamarkach torby, wymacując i wydobywając na światło dzienne jej zawartość. Gdyby wówczas na mnie spojrział, zapewne zastanowiłby go błakający się po mojej twarzy uśmieszek. Jako żywo przypominał on szopa pracza, który prawie dwa miesiące wcześniej, na pierwszym kanadyjskim biwaku dorwał się do naszych wiktuałów. Szperał i wywalał z torby wszystko, co wymacały jego błyskawicznie poruszające się łapki i w końcu, poganiany przez nas, z pajdą chleba w pyszczku pomknął w kierunku następnego samochodu... Celnik z uśmiechem i krótkim „OK” oddał mi rozbebeszony bagaż i żwawo podreptał do innych podróżnych.

Lecimy. Pierwszy posiłek na pokładzie. Polski dżem, masło i coś tam jeszcze, oraz... chleb, a właściwie mikro-bocheneczek chleba. Nie smarując go niczym, odgryzłem pierwszy kęs. „A ja myślałem, że w polskim samolocie podajecie polski chleb” – po-

zaliłem się stewardessie. „O nie, w świeże pieczywo zaopatrujemy się w Chicago” – uprzejmie wyjaśnił opiekuńczy anioł w mundurku LOT (nie dziwota, wszak wysokość była anielsko niebotyczna). Przypomniało mi się, jak to ciocia Aldona (z emigracji tużpowojennej) strofowała Lucjana, który przyjechał do niej z zakupami z Nowego Jorku: „Kielbasy i szynki – to ja rozumiem, najlepsze są w polskim sklepie, ale dlaczego kupiłeś chleb w polskiej piekarni? Toż ty zdurniał zupełnie! Jutro, a najpóźniej pojutrze on już będzie całkiem czerstwy. A amerykański to – ho, ho! – i po trzech tygodniach będzie świeży!...”

Po trwającej w sumie grubo ponad dobę podróży, po serdecznościach powitalnych w domu, poprosiłem: „Zosiu, daj mi kromkę normalnego naszego chleba. Bez żadnej omasty.” To była najsmaczniejsza i najprzyjemniej pachnąca potrawa w całej powitalnej kolacji... w domu.

## Maria Magdalena Beszterda

poznani.pl

jestem z miasta  
które zarabia  
ciasto na sobotę  
naftaliną duży futra  
w niedzielę  
nie pije w tygodniu  
to miasto o czystych oknach  
i nienagannych przystankach  
chyba  
czasem się za  
wstydzi

\*\*\*

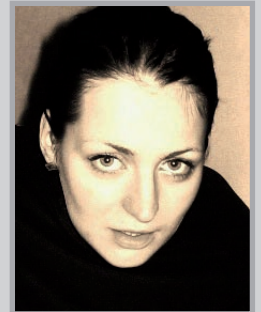
pacyfikujemy wszystkie spółniki  
wymyśliły zestaw małego cynika  
plastikowe batuciki  
żeby nimi bić się po rękach

\*\*\*

nie lubię łatwych  
wołę madonny  
lubię je używać  
takie dziedzictwo popowstaniowe  
mówisz-kurwy  
feminizm-odpowiadam

\*\*\*

beżowe szelesty twojej odświętności  
mikrodrżania rysów  
gęste światło  
gołębie i dzieci, co te gołębie  
płoszą w bruk  
uwikłany w kompulsywne  
strącanie niewidzialnych okruszków  
androny mi na skórze wychodzą  
jak o tym myślę  
o precyzyjnych mankietach na spinki  
taki starodżentelmeński sznyt  
przemysłanego skurwysyna



**M.M. Beszterda**  
doktorantka w  
Zakładzie Poetyki  
i Krytyki  
Literackiej UAM.  
Para się krytyką  
literacką („Wyspa”  
i „Kresy”),  
publikuje też  
naukowe artykuły  
(„Kultura  
Popularna”,  
„Nowe Pismo”).  
Była panią ze  
sklepu w centrum  
handlowym, panią  
nauczycielką,  
panią z dziekanatu,  
panią piszącą  
o glebogryzarkach  
i laserowym cięciu  
blach. Czasami  
bywa panią swego  
losu. Gdyby nie  
literatura zostałaby  
kucharką.

## Koniec smutku?

Profesor Elżbietę Skorupską-Raczyńską znają pracownicy i studenci Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Gorzowie, gdzie jest prorektorem do spraw Organizacji i Rozwoju. Również znają ją językoznawcy w całej Polsce, bowiem jej prace naukowe z tego zakresu zdobyły sobie uznanie. Mniej znana jest jako poetka, choć właśnie ukazał się czwarty tomik jej wierszy. Mniej – chyba przede wszystkim dlatego, że sama nie przywiązuje do wierszy takiej wagi jak do pracy naukowej. Pisze je na marginesie innych zajęć, rzadko, a nowych nie pokazuje nikomu. Przyznała podczas promocji, że nawet jej mąż zobaczył te wiersze dopiero po wydrukowaniu w książce.

Tomiki Elżbiety Skorupskiej-Raczyńskiej same układają się w dwie części. Do pierwszej zaliczam „Nim dojdę” i „W drodze”, których tytuły sugerują poszukiwanie. Tematy wierszy wyrastały z obserwacji świata zewnętrznego, zadumań nad losem polskiej wsi, z codzienności. Autorka mieszka w Trzebiszewie, 10 kilometrów od Gorzowa i ogromnie sobie ceni właśnie to miejsce na ziemi. Dwa następne tomiki dzieli od poprzednich ponad 10 lat wypełnionych pracą naukową. Wiersze, które jednak od czasu do czasu pisała, weszły do tomu „Krople” wydanego w 2005 r. Tu autorka prezentuje się całkiem inaczej. Podmiotem jest ona, kobieta dojrzała, a tematem głównym – refleksje nad życiem. Tom najnowszy ma tytuł „Niczyja”. Sugeruje brak osadzenia, brak relacji z ludźmi, zagubienie. Smutny to tytuł. Wiersze w nim zawarte kontynuują kobiece refleksje nad życiem, choć z pewną odmianą. Odmianę widzę przede wszystkim w większym udziale przyrody w rozmyślaniach autorki. Bo czyż można jej nie zauważać, gdy mieszka się w środowisku opisanym w wierszu pod tytułem „W moim domu”: *Przy moim domu / zimują dziecięcy / W starym kasztanie / któremu urosła długa broda / dziergają korę na apetyt*. I tak dalej, i tak dalej, aby zakończyć pointą: *W moim domu mieszkają anioły*.

Otoczenie przyrody łagodzi ból egzystencjalny, ciągle obecny w wierszach Skorupskiej-Raczyńskiej, choć jakby mniej dotkliwy niż wcześniej. Już w pierwszym wierszu z tego tomu pod tytułem „Świtanie” wyznaje ona: *W dłoni ściskam wciąż / jakieś stare klucze / do smutku / Jak zwykle*. Właśnie: skąd bierze się smutek w wierszach kobiety, która osiągnęła sukces zawodowy, ma stabilne życie osobiste, mieszka w ulubionym miejscu? Czy ten smutek jest immanentną częścią kobiecej duszy, która ujawnia się dopiero w wierszach? Zwracam uwagę, że w zacytowanej strofie znalazło się w odniesieniu do smutku słowo „wciąż” podkreślające jego ciągłość, ale jest także metafora „jakieś stare klucze do smutku”. „Jakieś stare”, a więc kiedyś używane, ale już niepotrzebne, zbędne. Czytam w tych słowach zapowiedź końca duchowych rozterek autorki, a wejście w etap refleksji syntetyzującej sens życia, refleksji ludzi dojrzałych mądrością.

Nie muszę chyba dodawać, że wszystkie wiersze Elżbiety Skorupskiej-Raczyńskiej są precyzyjne w konstrukcji i doborze środków wyrazu. Jej naukowe spojrzenie na język gwarantuje świadomość użycia tego, a nie innego słowa, takiej, a nie innej metafory.

Przy całej powadze tematu i formy wierszy z tomu „Niczyja” Elżbieta Skorupska-Raczyńska czasami bawi się ich zapisem. W poprzednim tomie niektóre sformułowania wybijała pogrubioną czcionką. W tym pewne wyrażenia zapisuje łącznie, tyle że rozstrzelonym drukiem. Jak w wierszu bez tytułu, gdy strach... *wpycha się pod poduszkę / wymierny niewymiernie / na kształt / tegoczapomniećnie-można*. Ostatni wers, na który składa się aż pięć słów (tego co zapomnieć nie można) zapisany jest łącznie, bez spacji. Taki zapis podkreśla wagę sformułowania, ale odbieram go także jako swoiste puszczenie oka do czytelnika.

**Krystyna Kamińska**

Elżbieta Skorupska-Raczyńska – „Niczyja”, Wydawca: Atelier Medialno-Szkoleniowe Red Frog Wydawnictwo „Arsenal”, il. Anna Szymanek, Gorzów 2010

	<b>W moim domu</b>
<b>wiersze z „Niczyjej”</b>	Przy moim domu zimują dziecięcy W starym kasztanie któremu urosła długa broda dziergają korę na apetyt
<b>Świtanie</b>	Sikorom dostatnio ubogim przybyło gości nieproszonych Żółtosiwe zięby upojone zapachem gęstych powabnie tui zaglądają im do garnka
Nagle otworzył się las słońce przysiadło na liściu wzruszona murawa zalala się rosą Jak w baśni	Kawki po dwie przytulone do ciepłego komina czekają wiosny od zmierzchu do zmierzchu
Nieświeże myśli niedospane z rachunku pomiędzy po zmierzchu a świtem wychudłe z workami pod okiem bledną wraz z resztką niechęci do dnia Jak w życiu	Nad moim domem o świcie snuje się zapach chleba codziennie niedzielny syty stołem
W dłoni ściskam wciąż jakieś stare klucze do smutku Jak zwykle	W moim domu mieszkają anioły

## Samotność ma wymiar prostej nieskończonej

Najnowsza książka poetycka Elżbiety Skorupskiej-Raczyńskiej wyraźnie wpisuje się w nurt poezji kobiecej (tzw. kategorii gender), czyli opartej na refleksyjności, macierzyństwie i zapisie własnych doświadczeń typowych dla swojej płci. Doświadczeń bolesnych, krwawiących, pełnych łez. Pisząc w takiej poetyce trudno jest uniknąć kiczu, wyzwolić się z cklowości tak przecież charakterystycznej dla grafomanii. Na szczęście książka z intrygującym tytułem „Niczyja” wychodzi obronną ręką z tego zmagania – zmagania poety z materią języka, z materią tematu.

Dykcja Skorupskiej nie należy do odkrywczych. Raczej wpisuje się w nurt poezji oszczędnej, ascetycznej nawet. Słów nie jest wiele, podobnie jak i działań na materii słowa. Chodzi bardziej o zapis przeżyć, myśli, niż o popis erudycyjny, którym przecież wybitny językoznawca – jakim autorka jest – mógłby się pochwalić.

W jakimś sensie jest to poezja, która nabiera votum nieufności wobec życia, jego wszechogarniającej samotności (*Samotność ma wymiar / prostej nieskończonej i takiej samej przed i po / bez początku i końca*), szczególnie odczuwalnej w nocy, która potrafi wraz z zachodem słońca przynieść ból. Ból w rekwizytorni tej poezji jest bardzo silnie akcentowany, skrzący się, skradający o zmierzchu. Ból, który autorka bierze na siebie, by oszczędzić go najbliższemu osobom. Równie



naznaczony w tej poezji jest strach: *Mój strach / przychodzi nocą / regularnie / przed snem / z dokładnością do pół sekundy / niemal.*

W świecie bólu i strachu człowiek zaczyna funkcjonować jako jednostka odizolowana, skupiona na sobie i najbliższym świecie, choć jednocześnie bardziej świadoma, że naskórkowy układ odniesienia jest niewystarczający. Trzeba ratować się w archetypie przyrody, w jej kojącym oddziaływaniu. Do głosu dochodzą słowiki, sikory, zięby, jaskółki, wróble, dziecięty, kawki,

a więc świat, w którym autorka funkcjonuje (jest mieszkanką wsi). Ważne są rośliny, drzewa, czyli archetypiczni projektanci ludzkiej duszy. W przydomowym ogrodzie autorka odnajduje swój mikroświat i mikrokosmos przeżyć wewnętrznych. Ogród to dla niej swoiste axis mundi – oś świata, miejsce mediacji między różnymi częściami wszechświata i nią samą. *Nagle otworzył się na las / słońce przysiadło na liściu / wrzuszona murawa zalala się rosą / Jak w baśni.*

Poetka odkrywa się przed czytelnikiem, jednocześnie porządkując świat w sobie, co doprowadza do lepszego rozumienia własnej istoty (tytuł tomiku wymownie to podkreśla) i bogactwa otaczającego świata, świata, w którym mieszkają anioły.

Książka ta należy do delikatnych, łatwych w odbiorze. Całość opatrzona jest grafikami Anny Szymanek – jaka szkoda, że prawie takimi samymi jakie pomieszczone są w tomie wierszy Renaty Paligi „Gruszka na wierzbie”. No, ale dzieł pani Anny nigdy dość, podobnie jak wierszy pani Elżbiety.

**Beata P. Klary**

## wiersze z „Niczyjej”

\* \* \*

### Wspomnienia

Wyrwane z niepamięci  
nagle  
bez uzasadnienia  
bezmieślnie  
bez celu

Plączą się  
pomiędzy  
jednym a drugim  
światem  
Bezpańskie

Bezsennie blade  
czepiają się życia  
i  
bólą  
do łez

Być kroplą  
skryć się pod powieką  
wzruszyć rzęsy

Jedną kroplą  
powoli  
spłynąć ku ustom  
twoim  
i na zwilżonych wargach  
ogrzać się  
w oddechu

Zasnąć  
w kąciку uśmiechu

I zostać  
do świtu  
do cna  
do utraty

być  
do łez

## KOBIECY ZAWSZE BYŁY BRUTALNE

## Rozmowa z profesor Elżbietą Skorupską-Raczyńską

– *Kilka miesięcy temu rozmawialiśmy przy okazji ukazania się tomiku poetyckiego Pani Profesor pt. „Niczyja”, że nie ma poezji kobiecej ani męskiej – jest tylko dobra lub zła literatura. Teraz ukazał się tomik poetycki Beaty Patrycji Klary, na który składają się erotyki. Czy erotyki muszą być ulotne, delikatne, tak jak to nakazuje nasze rozumienie poezji kobiecej, czy brutalne, tak jak myślimy o mężczyznach?*

– Myślimy brutalnie o mężczyznach i zakładamy, że oni są brutalni, a naprawdę oni są delikatni i wrażliwi. Przywołam tutaj chyba najpiękniejszy erotyk w dorobku polskiej literatury – wiersz Bolesława Leśmiana „W malinowym chruśniaku”. Gdyby nie nazwisko autora, moglibyśmy go przypisać kobiecie. Oczekujemy tego, by mężczyzna był twardy, w związku z tym zakładamy, że i erotyki tzw. męskie muszą być twarde. Nie dzieliłabym erotyków na męskie i kobiece. Może Beata Klary także chce udowodnić, że tego podziału nie ma? Może? Nie wiem. Być może chce skrytykować mężczyzn, którzy kryją swoją delikatność i wrażliwość? A może po prostu ma to szokować? Erotyki, które mamy w pamięci – z literatury obowiązkowej szkolnej i tej późniejszej wybieranej zupełnie samodzielnie – to teksty, które bardzo subtelnie dotykają tej sfery naszego życia. Natomiast tu ta sfera niejako jest obnażana, ściągana do poziomu, by nie użyć słowa do parteru, a nawet do dywanu. Gdzieś w tomiku ten termin się pojawia. Czyli coś, co dotychczas pozostawało w relacji dwojga ludzi bardzo intymne, delikatne, tu zostało to opisane w sposób ostry. Obowiązkiem poety jest inność, również szokowanie słowem. Jeśli ktoś ten cel zrealizowany w tekstach odnajdzie, to znaczy, że zrozumiał ich sens. Jeśli ktoś zidentyfikuje je ze swoim przeżyciem erotycznym, ze swoim „dywanem”, autor odniesie sukces.

– *Czy zdaniem pani Beata Klary świadomie prowokuje?*

– Myślę, że tu powiązały się dwie intencje. Zakładałam, że chciała sprowokować, bo o to chodzi, by prowokować tekstem literackim, ale z drugiej strony ujawnia też swój ból i tęsknotę. Czytelnik pewnie będzie identyfikował tekst z autorem: albo zazdrościł, albo współczuł, albo ubolewał nad autorką i nad jej przeżyciami. Kiedy moi znajomi przeczytali mój tomik pt. „Niczyja”, usłyszałam zapewnienia: „To nieprawda, nie możesz być samotna, bo przecież my cię kochamy, ty jesteś nasza”. Identyfikacja tekstu z autorem, szczególnie znanym osobiście, zawsze jest przeogromna. Teksty może nie tyle przesycone, co ubarwione słownictwem wartkim, leksyką trochę nieobyczajną, czyli słownictwem, którego obyczaj zabrania w publicznej komunikacji, mogą tutaj nastrajać właśnie do takich komentarzy.

– *Panom ten tomik bardzo się podoba. Jak pani sądzi – dlaczego?*

– Oczekujemy, że kobieta będzie silna, ale delikatna, że będzie zdecydowana, ale wrażliwa i raptem oto wypowiada się poetką językiem, który przyporządkowany, dozwolony jest sferze życia męskiego. Zatem macho, mężczyzna, który przeżywa silną presję, ma prawo wyładowywać swoje emocje właśnie w taki sposób. A tu raptem delikatna istota, kobieta, wypowiada się tak, a nie inaczej. To może się mężczyznom podobać. Znalazła się osoba, która to opisuje inaczej, i właśnie dlatego, że się odważyła, ją cenimy. Beata Klary mówi też, że kobiety stają się bardziej brutalne i dlatego ona pisze o kobietach agresywnych, o równouprawnieniu w erotyce.

– *Kobiety zawsze były brutalne, ale dopiero teraz się o tym mówi?*

– Kiedy spojrzemy w karty historii, odnajdziemy wiele kobiet bardzo brutalnych. Zresztą najlepszym stereotypem brutalnej kobiety jest macocha. Kobieta pastwiąca się nad dzieckiem swojego męża, który de facto pod jej wpływem odpycha własne dziecko. To jest pokazane w baśniach, a to znaczy, że tak musiało być w rzeczywistości. Pomiędzy wszystkie silne kobiety, które manipulowały władcami, bo to one były bardziej żądne krwi aniżeli mężczyźni. Niektórzy historycy twierdzą, że wszystkie wojny zostały wywołane przez kobiety. Teraz obraz brutalnej kobiety jest powtarzany, wręcz wizualizowany. Oglądamy filmy z agentkami, które są tak silne i sprawne jak mężczyźni, może nawet sprawniejsze od nich. Widzimy kobiety, które walczą, kobiety w wojsku. Możliwości przekazu, prędkość życia, dynamika niejako narzucają kobietom takie, a nie inne zachowania. Niektóre kobiety wręcz twierdzą, że gdyby nie zachowywały się po męsku, nie dostałyby takiej czy innej pracy, nie mogłyby osiągnąć takiego czy innego sukcesu.

– *W tych wierszach nie brakuje wulgaryzmów, których jeszcze kilka lat temu kobieta nie użyłaby...*

– Wulgaryzmem jest to, co w odczuciu odbiorcy komunikatu wywoła negatywną opinię o poziomie kulturalnym nadawcy. Tu relacja pomiędzy nadawcą a odbiorcą jest specyficzna. Nie jest to komunikat bezpośredni, a pośredni. To słownictwo na pewno szokuje. Kiedy czytam tekst, nie identyfikuję go z autorką, tylko poszukuję czegoś, co mnie może dotyczyć. Sądzę, że intencją autorki było tu zaszokować – właśnie dlatego, że dotychczas w poezji kobiety nie używały takiego słownictwa. Owszem, akceptuje to słownictwo w tekstach prozatorskich, ale w tekstach poetyckich? Przypominam sobie takie przeżycie z czasów mojej szkoły średniej, a nie było to średniowiecze, lecz lata siedemdziesiąte. Moja polonistka przyniosła na lekcję języka polskiego opowiadania Janusza Olczaka, który w jednym z tekstów o robotnikach sezonowych w Murzynowie włożył w ich usta taki oto dialog, gdy wybierali się na zabawę. Jeden z nich zakłada skarpetki i mówi: „O, mam dziurę w skarpetce. A drugi – a ja w dupie”. Było to tak dla nas szokujące, że nauczycielka zakryła usta, kiedy to powiedziała i uśmiechnęła się zażenowana. My gruchnęliśmy śmiechem, bo czegoś takiego w tekście literackim wcześniej nie widzieliśmy, a w filmie czy w radiu nie słyszeliśmy. Dzisiaj jest normą, że oddajemy rzeczywistość tak, jak ją postrzegamy, widzimy i słyszymy.

– *Tytuł tomiku to „Szczekanie głodnych psów”. Beata Klary twierdzi, że jesteśmy w wielu zachowaniach podobni do psów.*

– Nie wiem, czy to jest komplement, czy krytyka psa. Uważam, że psy są mądrzejsze od nas. Zachowanie psa zależy wyłącznie od tego, jak zachowuje się jego pan. „Szczekanie głodnych psów”... No cóż, pewnie głodne psy szczekają inaczej niż psy najedzone. Głodne psy wyją. Tytuł też prowokuje. Czy mężczyzna to pies?

– *Czy warto więc przeczytać wiersze Beaty Klary?*

– Zawsze warto czytać.

**Rozmawiała Izabela Patek**  
(Radio Zachód)

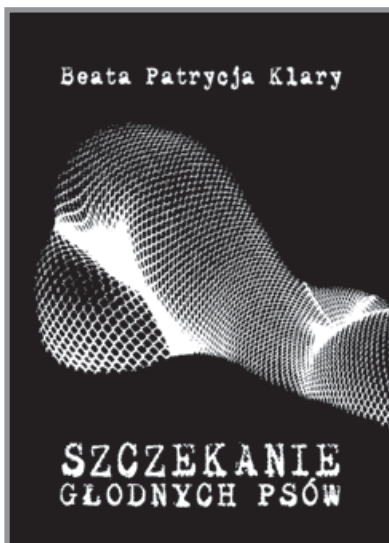
## Niežnośna redukcja mężczyzny

Opatrując swoją nową książkę poetycką mottem z Walta Whitmana: „Równouprawnione są tylko narządy płciowe”, Beata Patrycja Klary narzuca sposób lektury i równocześnie ostrzega przed swoistym sarkazmem, którym nasycone są jej wiersze. Można spodziewać się erotyków, nawet śmiałych erotyków, w których czynności miłosne będą nie tyle pokazane, co nazwane wprost, i tych faktycznie w tomie nie brakuje. Są to jednak częściej „psychoerotyki” – akt miłosny jest najczęściej tylko tłem lub pretekstem do studium sytuacji psychicznej kobiety. Co nie znaczy, że poetka rezygnuje z przekazywania obrazów miłości sensualnej, jak na przykład w wierszu „akt”: *Udo spotkało się z udem.* (...) I właśnie wśród najbardziej zmysłowych pasaży żeński podmiot liryczny nie powstrzymuje się przed ironią.

Mężczyzna w tej poezji jest bytem zewnętrzny. Nie tyle niepoznawalny, co z góry określony, nieżnośnie zredukowany, traktowany najczęściej przedmiotowo. Czy to pełna podmiotowość kobiety tego mężczyznę umniejsza, a nawet wyklucza jego podmiotowość? Czy to tylko moje męskie odczytanie tych wierszy? Mężczyzna jest tu źródłem miłości przede wszystkim fizycznej, bo nie pojawia się jako dopełnienie kobiety poza fizycznością. Ważna jest jego obecność, bo ważne jest, choćby zaraz miała być lekko obśmiana, jego potencja, przy czym bohaterka liryczna domaga się – paradoksalnie – więzi psychicznych od mężczyzny nieobecnego:

*Po doskonałej nocy rozplatamy imiennosc./ Odchodzisz.* („ballada hotelowa”).

Kobieca przewrotność? Może i cynizm? Nie, nic podobnego, jeśli ponownie zastanowić się nad mottem tomu. Skąd Whitman? W jednym z wywiadów poetka deklarowała, że to jej ulubiony poeta. Jej poprzednią książkę pt. „Imaginacje” zamyka wiersz „Pamięci Walta Whitmana”, który okazuje się zapowiedzią „Szczekania głodnych psów”: *Zapytałam siebie/ czy wszystko co widzę/ jest prawdą.*



Poetka podejmuje bowiem trud sprawdzenia i prawdy, i sposobu jej widzenia. Kluczową prawdą jest to, co pojawia się (lub nie!) między dwojgiem ludzi. Whitman w tomie „Tatarak” wyznał:

*(...) gdy kogoś kocham, ogrania mnie gniew na myśl, że moja miłość może być nieodwzajemniona (...)* „Czasem, gdy kogoś kocham” (przekł. Andrzej Szuba).

Autorka „Witraży” poddaje bohaterkę swoich wierszy różnym rodzajom właśnie takiej opresji, pokazując kobietę w specyficznych relacjach miłosnych z mężczyzną.

W „Szczekaniu głodnych psów” – jakby po lekcji Whitmanowskiej ekstazy i zarazem sceptycyzmu – Klary mówi wreszcie własnym językiem poetyckim, niedowierzącym utartym schematom składniowym i frazeologicznym. Rezygnuje z lirycznej publicystyki, której sporo można było znaleźć zarówno w „Witrażach”, jak i w „Imaginacjach”, uwalnia się też od

swych mistrzów. Jeszcze w „Imaginacjach” pisała: *Ten wiersz// mógłby napisać Kazimierz Furman* („Uwaga na marginesie rękopisu”).

Niedawno przedwcześnie zmarły Kazimierz Furman miał niewątpliwie wpływ na poetykę wczesnych wierszy autorki „Witraży”. W „Szczekaniu głodnych psów” już nie ma takiej możliwości, że któryś z wierszy „mógłby napisać” ktoś inny.

Poetka dzieli książkę na trzy dość wyraźnie różniące się rozdziały. Pierwszy to niemal fabularna relacja z przybliżania się do siebie i oddalania mężczyzny i kobiety, drugi – opisuje ich bycie nieustannie ze sobą w wyimaginowanej przestrzeni, rozpiętej między konkretną, materialną rzeczywistością, a dość surrealistycznymi krajobrazami, trzeci – jest najmocniej poświęcony rozmijaniu się kochanków.

Byłoby nieporozumieniem doszukiwać się w poezji Klary jakiegoś konceptu feministycznego czy antyfeministycznego (jest zaskakująca spójność między tymi ideologiami). Niemniej są te wiersze – przynajmniej w moim odczuciu – tak samo świadectwem fiaska tegoż konceptu społecznego, który miesza w związku dwojga ludzi role damskie i męskie, jak i daremności w dążeniu do miłości idealnej.

A ja nie rozumiem, jakbyś szczekał w nieznanym języku „dobry temat na film”. Bo przecież – co ze „Szczekania głodnych psów” wynika – nie tylko z powodu braku należytej komunikacji międzypłciowej mężczyzna jest tym niezgrabnym dziwakiem Jonaszem, który powoduje emocjonalnego pecha kobiety, gdy tylko – pozwolę sobie tu na gómolotność – rozwija zagle miłości.

*Jerzy Suchanek*

### Beata Patrycja Klary

#### milonga

Kurew jakaś albo i nie kurew, bo nosi norki  
i połamane  
obcasy na niepołamanych nogach.

Za to życie złamane,  
zdarte do krwi pierwszego dnia okresu.

W torebce kartka  
najważniejsze jest niewidoczne dla oczu,  
jak bakterie, mikroby,  
promieniowanie gamma, ładunek elektryczny,  
molekuły  
i liczby zespolone; jak delikatność dziewczęcej  
pewności,  
gdy znów idzie w tango, żeby się zespolic.

Przypomina  
kamień z wilgotnym rozcięciem. Kurew

#### Ostatnie literackie laury Beaty Patrycji Klary

Konkurs o „Milowy Słup” – pierwsza nagroda w kategorii poezji; „Chojnicki Kluczyk 2010” – pierwsza nagroda za wiersz „Historyjka o kudłatym psie”; Konkurs Jednego Wiersza na Interdyscyplinarnych Warsztatach RSTK w Garbiczu – nagroda jury i publiczności; „Szufłada” w Oleśnie – wyróżnienie za zestaw wierszy; Portal Pisarski – pierwsza nagroda za recenzję książki „Światłoczułość”; Konkurs „O pióro Anioła” – trzecie miejsce za bajkę „Bajkowa kolekcja aniołów”; konkurs w Białymstoku – pierwsza nagroda w kategorii prozy.

## Szczekanie psów i głodne kobiety

Beata Patrycja Klary wydała nader inteligentną książkę poetycką. Pod względem leksykalnym, pozornie oddalone słowa, jakże bliskie jednakże,omalże przytulające się do siebie w sensach – tak można najprościej określić formalne zabiegi literackie, jakie stosuje autorka. Już sam tytuł tomiku „Szczekanie głodnych psów” jest tylko pozornie wyrwany z kontekstu. Można go jednakże szeroko interpretować. Dlatego też „zabawiłam się” w rozstrzał tytułowej frazy. Szczekanie odczytałam jako kąśliwość albo można to nazwać inaczej – samczość nakierowaną wprost na obszar erotycznych zachowań mężczyzn. Głód oznacza kobiece, ponadprzeciętne pragnienie miłości. Psy (choć z rzeczy samej nie zasługują na to) zredukowane są tu do pierwotnych, instynktownych zachowań mężczyzn, prymitywnych zresztą. Książka Beaty Klary jest więc o kobiecym pragnieniu bezwarunkowej miłości i niemożności spełnienia się w niej. Mężczyźni w niej są słabi, rachityczni, niedojrzali do głębokiego uczucia, dlatego przez autorkę zostali uprzedmiotowieni. Tak – wet za wet – bowiem swoje kobie-

ty traktują jako własność,omalże jak tapczany, na których sypiają. Kochają je, jak gdyby to były lalki Barbie, na sucho i na niby, jakby z oddalenia i na chybcika. Jak w tym wierszu „miraflori” – za zakretem – byle więcej ich zaliczyć. Gdy pojawia się problem w ich związku z kobietą lub jakikolwiek inny egzystencjalny problem, nie stają na wysokości zadania – uciekają – najczęściej do knajpy w suterenie, otwartej do nocy. Zapijają problem. Przebiegając przez wiersze Beaty dużo dowiedziałam się o kobietach, o ich zagubieniu i o ich samotności. Wszystkie jej wiersze przedstawiają kobiety w różnych fazach rozczarowań relacją ja – mój pan, lecz nie tylko... Cała książka Beaty Patrycji Klary to intelektualna opowieść o jednej, być może tej jedynej, samotnej kobiecie. Więcej powiem, książka Beaty to poetycki psychodramat głodnej miłości kobiety. I tak dzieje się w tej książce, że wymyka się ona poza obszar jednego gatunku literackiego i wkracza w obszar nie tylko feministycznych, ale i intelektualnych rozważań.

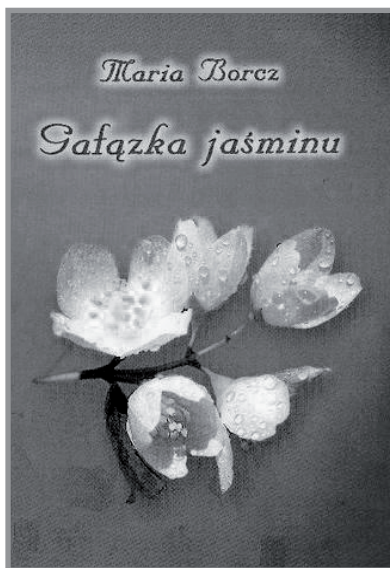
*Irena Zielińska*

## Maria Borcz „GAŁĄZKA JAŚMINU”

### Lubię Marię Borcz

Znam i lubię Marię Borcz za jej ciepło, życzliwość i serdeczność dla ludzi, lubię jej dom, zawsze otwarty i dający spokój potrzebującym. Wszystkie te cechy autorki widoczne są w wierszach z jej trzeciego tomu pt. „Gałązka jaśminu”. Ale tylko w niektórych. Już we wcześniejszym tomiku pt. „Najeżona oczywistość” autorka dała sygnał cyklu, który tu kontynuuje. Jego bohaterami są dzieci z ośrodków opiekuńczych lub domów dziecka, którym tam stworzono znacznie lepsze warunki niż miały w swoich domach. A przecież są smutne i nieszczęśliwe. Dla przykładu – trzy krótkie wiersze: Pierwszy pod tytułem „Z sierocińca: pani Zosia troszczy się/ podtyka smakołyki / staje w obronie / wdzięczy się/ zabiega o miłość / Nie lubię jej / chce zastąpić mamę. Kolejny pod tytułem „W rodzinie zastępczej”: Zastępcza wigilia / w rodzinie od święta / Mikolaj wyciąga / wielkie serce z czekolady // Nie zjem – za słodkie / nie przytulę – wymięknę / nie przechowam – straci smak po terminie. I jeszcze jeden z tytułem „Nowoprzybyły”: waruje jak pies / wypatruje swoich // chciałby zniknąć / lub stać się przezroczysty / jak szkło w oknie / bo nikt nie zatrzymuje na nim wzroku.

Cykl wierszy Marii Borcz o porzuconych dzieciach rozrasta się. W tym tomie bohaterowie mają imiona, coraz więcej cech indywidualnych i problemów osobistych, nawet rosną i opuszczają dom dziecka. A przecież głównie z powodu tego domu ciągle nie są samodzielne. Jeszcze jeden wiersz z tego cyklu, nieco dłuższy: opuszcza dom dziecka / wychodzi na ring życia / jak na spacer / nie zna uników / nikt nie nauczył jej walczyć / w pierwszym starciu nokaut / chce uciec z pola walki / nie może się pozbierać / tylko otwartą dłoń / zaciska w pięść.



W historiach dzieci niekochanych Maria Borcz jest oszczędna w słowach, a przecież wiersze te trafiają do serca odbiorcy, każą zastanowić się nad problemem społecznym, który w miarę naszego bogacenia się wcale nie maleje. Wręcz odwrotnie: rośnie liczba dzieci porzucanych przez rodziców, oddawanych do biduli, dzieci smutnych, niekochanych. Autorka nie szuka sposobów rozwiązania tego problemu, bo to nie jest zadanie poety. Ona z wielkiej palety ziemskich spraw wyciąga jedną, dla niej bliską i na nią zwraca uwagę czytelników.

Szkoda tylko, że wiersze te, najlepsze w całym 70-stronnicowym tomie, zepchnięte zostały na koniec i wymieszane z innymi. Moim zdaniem właśnie one powinny otwierać tomik i decydować o jego profilu. Obecny

układ wierszy odczytuję jako zdecydowanie przypadkowy, choć firmuje go jako redaktorka ceniona poetka Anna Kajtochowa. Choćby trzy pierwsze: tomik otwiera liryczny, osobisty wiersz „Noc”, drugi – z tytułem „Formacja kadr” ma wydźwięk satyryczny, a o trzecim mówi sam tytuł – „Modlitwa”. Nie rozumiem takiego wymieszania tematów i stylistyk. Również za nieadekwatny do całości uznaję tytuł tomiku „Gałązka jaśminu”. Wiersz z tym tytułem zaliczam do zdecydowanie najsłabszych, a przyrody w tym tomie tyle co na lekarstwo. Dominuje tematyka społeczna. Skąd więc taki przyrodniczo-liryczny tytuł? Także nie zgadzam się z opinią Anny Kajtochowej o innych wierszach Marii Borcz. Moim zdaniem za dużo w nich banalnych uogólnień i nieporadności językowych, a fraszki i wiersze satyryczne są zbyt dosłowne. Tu robię unik: tego wątku ciągnąć nie będę, bo... bo lubię Marię Borcz za jej ciepło, życzliwość i serdeczność dla ludzi.

*Krystyna Kamińska*

## Trzecia książka Marii B.

To już trzecia książka Borcz i do tego trzecia w formie i wydaniu taka sama. To rozpoznawalny styl książek wydawanych w Krakowie pod opieką Anny Kajtochowej. Właściwie pisząc krótkie omówienie książki poprzedniej, „Najeżona oczywistość”, odwołałam się do percepcji wierszy Borcz przez zwykłych czytelników, prostych odbiorców, którzy nie dość, że sami nie popełnili ani jednego tekstu poetyckiego, to i rzadko po poezję sięgają. A skoro już sięgają, to nie w celu krytyki, a umilenia sobie życia, spotkania z czymś elitarnym, z czymś niezwykłym przez to, że niecodziennym w ich życiu.

Zdanie czytelnika daleko jest dla mnie ważniejszym i bardzo się na nie wyczulam. Tak jak w przypadku jednej z ostatnich rozmów nad wierszami Marii Borcz. To są teksty, które się podobają. Co jest ich atutem, co przyciąga? Pewnie to, że autorka używa słów dobitnych, jednoznacznych, mocnych. To słowa twarde, bolesne, pozbawione metafor i niuansów: „prawda, cierpienie, potwarz, oziębłość, demony,

gniew”, a jednocześnie słowa dostosowane do podmiotu lirycznego, skoro w kilku wierszach podmiotem są dzieci. Dzieci doświadczone przez los, bezdomne, pozbawione rodziny, przyjaciół, uczuć delikatnych i najczulszych.

Czytelnik wiersze Marii Borcz rozumie. To wielki atut. Rozumie i chce je czytać, bo odnajduje w nich trafność prostego ocenienia sytuacji, trafność doboru słów o jednoznacznej kolorystyce. Do tego mocne tematy i brak jakiegokolwiek kokieterii pod adresem krytyków choćby – by się podobać, by robić wrażenie. Maria sokuje tematem, a nie formą. „Gałązka jaśminu” tylko z pozoru jest delikatna, niczym wiosenne kwiecie. Na kolejnych stronach książki znajdziemy ból, szok odrzucenia, obawę przed śmiercią i w końcu zagładę. Wszystko, czego chcemy uniknąć, o czym chcemy zapomnieć. Borcz nie chce przymykać oka, ona chce dać świadectwo. Warto je poznać.

*Beata P. Klary*

## Małgorzata Dobrowolska „APOLLO Z DACHAU”

### Mocno, zdecydowanie, ostro

W ostatnim wierszu, w podsumowaniu całego tomu „Apollo z Dachau” Małgorzata Dobrowolska daje swój autoportret. Jeśli pominąć cztery pierwsze wersy, w stosunkowo długim wierszu pisze o sobie: jestem romantyczna, jestem seksowna, jestem przesadna, zagubiona, zamotana i zamknięta. Po prostu damski banał. Z dużą dozą kobiecej prawdy, ale już wyeksploatowanej literacko. Tymczasem wiersz ten w pierwszej zwrotce ukazuje całkiem inną autorkę:

*Przeczytałem Dobrowolską wiesz  
odartą ze wstydu  
odważną jak diabli  
co gromi burzy upada i wstaje*

Małgorzata Dobrowolska debiutowała dwa lata temu nietypową książką z tytułem „W niemocy kobiet”. Nietypową, bo złożyły się na nią wiersze oraz reportaże literackie. Autorka jest dziennikarką, poprzednio związana była z „Ziemią Gorzowską”, teraz pracuje dla Polskiej Agencji Prasowej i miesięcznika „Gorzów in Touch”. Z fachu wynikają jej kontakty z ludźmi, czyli tematy do reportaży. Tymczasem wydając tomik wierszy wskazała, że nie w prozie, a w poezji lokuje swoje ambicje literackie. Tomik z dziwnym tytułem „Apollo z Dachau” ukazał się w Wydawnictwie Arsenał przynależącym obecnie do Atelier Medialno-Szkoleniowego Red Frog Agnieszki Kopaczyńskiej, w graficznym opracowaniu Moniki Szalczyńskiej, z rysunkami Beaty Stanek. Świadomie wymieniam nazwiska wszystkich twórczyń książki, bo przez nią wkracza nowe pokolenie. Wszystkie mają po dwadzieścia parę lat, są wykształcone i świadome swoich artystycznych celów. Odważna jest Monika Szalczyńska, która na okładce wściekły różowy kolor skonstrastowała z literami tak niebieskimi, że aż trudno je czytać. Odważna jest Beata Stanek, twór-

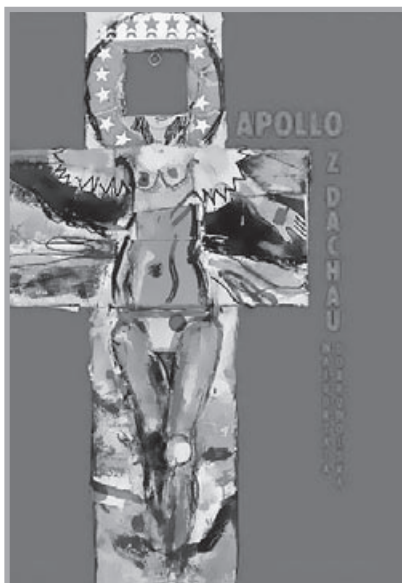
czyni ilustracji robionych grubą, czarną krechą oraz rysunku z okładki – bajecznie kolorowej kobiety na... krzyżu. Ale najbardziej odważna jest Małgorzata Dobrowolska, odarta ze wstydu (...), która gromi, burzy, upada i wstaje, wykorzystując wcześniejszy cytat.

Zdarzają się w tomie wiersze z nutą tęsknoty i zagubienia, ale zdecydowanie przeważają gęste i mocne, ukazujące kobietę, która zna swoją wartość, zadziorną, wręcz mściwą. Bo jak inaczej nazwać tę, która o całym męskim rodzie stwierdza: *Myslą, że władają światem, a potrafią tylko sikać na stojąco.*

Dość jednak o tej kobiecości wyrażanej na różne sposoby. Pierwszy rozdział tomu jest całkiem odmienny, wręcz zaskakujący. Inspiracją do niego była II wojna światowa, Hitler, przemoc. Choć kalendarzowo dla autorki czasy to wręcz prehistoryczne, wracają do niej przez zdeptanie człowieczeństwa. Tytułowy Apollo to Żyd z warszawskich Nalewek, który zachował swoją urodę i godność, mimo że w obozie koncentracyjnym Dachau maltretowano go i upokarzano. Co prawda wiersz ten nie jest reprezentatywny dla całości tomu, ale autorka podniosła go do rangi tytułu tomiku, bo przez kontrast piękna Apolla i przemocy Dachau wprost bije po oczach.

Mocno, zdecydowanie, ostro. To jakby synteza całego tomu Małgorzaty Dobrowolskiej, której w osiągnięciu tego efektu pomogły wymienione wyżej koleżanki. Tu przyznaję, że nie lubię być bita, nawet tylko po oczach, więc nie wszystko mi w tym tomie odpowiada. Ale jedno jest pewne: Małgorzata Dobrowolska wie, co robić ze słowami, jak je układać, by w pełni wyrażały jej myśli. A to duża umiejętność dla parających się literaturą.

*Krystyna Kamińska*



## Wędrownka w świat słowa

Druga książka w dorobku to „niewiadomoco”, czyli już na wstępie coś ciekawego. Zahacza formą, słowem krótkim atakuje. Rodzaj zabawy językiem. Ciekawostka raczej niż treść. Znów o nieszczęsnych aniołach – kiedy się te kobiety z tego wyzwolą? Martwi mnie to, bo jaka nowa jakość może zaistnieć, jeśli w każdym tomie kobiecym są anioły – nawet o zgrozo w Dachau. Przemilczmy to jednak. Ważniejsze jest znaczenie, jakie zapewne autorka przypisuje swoim tekstom: niezasłużona śmierć, cierpienie, wykorzystywanie ludzi. Wpływ Marii Peszek „jestem tylko skórą nogą ręką dziurą”. Warto rzucić okiem. Kto lubi eksperymenty, może się zaskoczyć. Ja już naczytałam się takich bajek – performance na słowie. Choćby „Ajajaj...!” Marty Grundwald, gdzie młoda poezja (zwłaszcza ta pisana przez kobiety) została uwolniona od zabiegów mityzacji rzeczywistości, a więc projektowania własnych wizji prapoczątków, onirycznych krajobrazów i natarczywego wykorzystywania ogranej symboliki. U Dobrowolskiej mityzacja jest – Apollo, któż nie wie, kim był ten bóg piękna, światła, życia, śmierci, muzyki, wróżb, prawdy, prawa, porządku, patron sztuki i poezji, przewodnik muz – tym razem odnalazł się w Dachau. I wpleciony w jego historię (z pogrubionych literek agnieszka moskaluk – celowo zapisałam jako jeden wyraz) – rebus, tyle tylko, że nie wiadomo co mówiący. To dlatego autorka dając mi książkę – zaznaczyła, że jak będę pisała recenzję, to mam się do niej odezwać, a ona wytłumaczy. No nie odezwałam się, bo mnie tłumaczenia piszących nie obchodzą. Czytam książkę



i ma się ona wytłumaczyć sama – jeśli tego nie robi, fakt „co poetka miała na myśli” zupełnie mnie nie interesuje. Zastosowane litery, literki pogrubione wymagają pewnego dekodowania, ale tylko na poziomie liter. Gdyby autorka poszła dalej – nie podawała spisu treści choćby (bo tytułów owe teksty nie mają) – mielibyśmy ciekawszy zabieg kodujący. A najlepiej gdyby więcej było treści, gdyż sama pozorna hermetyczność (bo poezja strictly hermetyczna operuje trudnymi, wielopoziomowymi symbolami i metaforami) oraz nieistotność pewnych nazwisk dla czytelników (nie umniejszam istotności dla samej autorki) zamykają krąg odbiorców. Zabawa, pewna próba zmierzenia się z trudnym tematem, którym pisząca jest zafascynowana. Wyszło nietuzinkowo – acz pusto. Kolejny eksperyment, a ja zawsze jestem za poszukiwaniem nowych dróg, nawet jeśli poszukiwanie niczego nowego nie przyniesie. Zawsze to przecież pewna przygoda, wędrownka w świat słowa. I nawet lasów nie szkoda, że wycięte, bo to zaledwie czterdzieści stron w bardzo ładnej okładce Beaty Stanek.

*Beata P. Klary*

**Małgorzata Dobrowolska, „Apollo z Dachau”,** Wydawca: Atelier Medialno-Szkoleniowe Red Frog, Wydawnictwo Arsenał; il. Beata Stanek, oprac. graf. Monika Szalczyńska, Gorzów 2010

## Małgorzata Dobrowolska

\* \* \*

Apollo z dachau  
stanął nagle nagi  
nie miał zbyt wiele  
żeber tyle co apostołów i strużkę krwi cienką  
nosił brodę oraz nagnile od tortur ciało  
skórą bladą obleczone  
orli noc spuszczonej na kwintę a kiedyś budził dumę  
mycka popruta  
został ciemny kołtun

połamali mu kręgosłup moralny  
odarli z pamięci o jahwe  
przystojnym  
i wysokim był dziadkiem  
zanim od ulicy nalewki  
wlekli go pod plandekę skopali jak psa  
i z wnuczką się kręcił  
na karuzeli

\* \* \*

patriotyzm to takie duże słowo  
jak marcin gortat czy empire state building  
a polacy przekonani że  
sami przelewali krew pod grunwaldem

cu du nad wisłą nikomu nie oddadzą  
cierpienie jak hostię przy piersi ciskają  
o historii piszą tylko na kolanach  
choć za rybę w gazecie denuncjowali ile wlezie  
dziś szybciej samolot na wyspy złapią  
niż powalczą o spokój bitej sąsiadki  
dziadka pułkownika odwiedzą w hospicjum  
czarnemu wybaczą kolor skóry

łatwiej rzucać kwiaty na trumny

## Małgorzaty w Dobrowolskiej jest tyle, na ile gotowa jest się odkryć

Małgorzata Dobrowolska wydała swój najnowszy tomik wierszy – pierwszy w pełni poświęcony poezji. „Apollo z Dachau” to zbiór utworów, wobec których nie można przejść obojętnie. Szczere do bólu, a z drugiej strony ciepłe i sentymentalne. Czy również taka jest autorka? O to i nie tylko pytał Robert S. Sławiński

**Robert S. Sławiński:** *Pierwsze, co nasunęło mi się po usłyszeniu tytułu Twojego tomiku wierszy „Apollo z Dachau”, to było zagadnienie Shoah. Ciekawi mnie, na ile Shoah, Zagłada czy Holokaust miały wpływ na Twoje wiersze.*

**Małgorzata Dobrowolska:** Największy wpływ mają uczucia, które pojawiają się na myśl o Holokauście. Dla wielu starszych ludzi, którzy tego doświadczyli, to ból, cierpienie, rozpacz. Z mojej perspektywy wygląda to trochę inaczej. Szanuję i podziwiam bohaterów II wojny światowej, młodych ludzi, którzy poświęcili swoje marzenia, plany, by walczyć za ojczyznę. Ale jednocześnie zaznaczam, że nie powinniśmy pisać o historii Polski „tylko na kolanach”. Ważne, by nie zapominać, ale też dostrzegać to, co przed nami.

**R.S.** *Mówi się, że po Holokauście sztuka sztuka zupełnie czego innego, przestała być tak niewinna. Wielu twórców odwołujących się do tanatologii przywołuje często właśnie Holokaust. Jest to szczególnie widoczne w literaturze, choć współcześnie artyści starają się polemizować z wieloma odniesieniami. Ciekawą polemiką zajmują się współcześni izraelscy pisarze bądź pisarze pochodzenia żydowskiego. Na przykład Howard Jacobson w jedynej wydanej w Polsce (nad czym ubolewam) książce „Wieczory Kaluki” odwołuje się do żydowskości, tworząc oś powieści wokół zagazowania przez Żyda swoich rodziców w domu. Na ile proza czy poezja jest w stanie okiełznać temat Zagłady?*

**M.D.** Proza i poezja to tylko formy ekspresji, które pozwalają przemycić pewne emocje, przemyślenia, uczucia. Zaledwie pomagają w okiełzaniu tak trudnego zagadnienia. Ale czy to się rzeczywiście udaje, niech ocenią czytelnicy. Poezja jest niedefiniowalna i dla każdego może oznaczać coś innego, budzić różne skojarzenia.

**R.S.** *Śmierć to oczywiście nie jedyne zagadnienie przywoływane przez Ciebie w wierszach. Często można natknąć się na utwory oscylujące wokół tematu miłości, zdrady czy współczesnych wydarzeń. W czym czujesz się lepiej?*

**M.D.** W każdym z tych tematów czuję się dobrze. Bo pisanie sprawia mi po prostu wielką satysfakcję. Poszukuję nowych dróg, śladów, tropów, by przedstawić swoje teksty w możliwie ciekawy dla czytelnika sposób. Śmierć, miłość, zdrada i emocje im towarzyszące są bardzo mocne, wyraziste. Mnóstwo osób je przeżywa czy obserwuje w najróżniejszych sytuacjach. Ja też, dlatego o nich piszę.

**R.S.** *Większość wierszy ma charakter zakodowany. W Klubie Lamus wspomiano o tym, że Twoją twórczość mogą zrozumieć tylko bliskie Tobie osoby. Czy to nie jest pułapka, gdy tworzy się dla siebie samej coś, czego nie osiągną amatorzy poezji czy zwykli czytelnicy niezwiązani z Twoją osobą? Oczywiście, dobrze żyć we własnym fyrtku, bo jest bezpieczniej, może jednak warto otworzyć się na szerszą publiczność?*



**M.D.** Ależ ja się otwieram. Tylko czytelnik musi się trochę wysilić, wglębić, poświęcić nieco czasu i uwagi. Może ten tomik od razu wyrzucić do śmieci, bo mu się coś nagle nie spodoba, albo się nim fascynować, upajać i odkrywać. Ale z pewnością nie da się go poznać i zrozumieć, czytając pospiesznie, niedbale, bez zrozumienia.

**R.S.** *Lubisz bawić się słowem. Oczywiście, każdy szanujący się literat ma swojego guru. Kogo lubisz czytać, kogo szanujesz za literaturę, kto obecnie wywarł na Tobie największe wrażenie (może być również mniej pozytywne), a kto jest Twoim guru słowa?*

**M.D.** Wielu jest takich autorów. Do ulubionych należą Krzysztof Kamil Baczyński, któremu poświęciłam jeden z tekstów w tomiku „Apollo z Dachau”, a także Charles Baudelaire, który się tak fantastycznie, bez ograniczeń i strachu babra w poezji. Jest też niezwykle mądra i pouczająca Wisława Szymborska czy Paulo Coelho, którego uwielbiam za „11 minut”.

**R.S.** *Ile jest tak naprawdę Małgorzaty Dobrowolskiej w Małgorzacie Dobrowolskiej i jak przekładasz to na swoją twórczość, mając na uwadze „wiersz klucz” z Twojego najnowszego tomiku oraz Twoją wypowiedź, że nie odkryłaś jeszcze swoich wszystkich kart.*

**M.D.** Małgorzaty w Dobrowolskiej jest tyle, na ile gotowa jest się odkryć. Czasami pokazuję w twórczości naprawdę sporo, czasem ukrywam swoje spostrzeżenia, doświadczenia, animozje za jakimś symbolem. Nie odkryłam jeszcze wszystkim kart, bo sama wciąż uczę się siebie na nowo.

**R.S.** *Czy mężczyzna może być wdzięcznym tematem wierszy i dlaczego ciągle myślimy, że władamy światem?*

**M.D.** Każdy temat jest wdzięczny. Nawet faceci.

**R.S.** *Poza literaturą i dziennikarstwem oraz chili czekoladą lubisz, zajmujesz się, chcesz...*

**M.D.** Lubię ludzi, swoją pracę, herbatę z miodem, dobre kino, podróże pociągami, sport, zwłaszcza żużel. Jestem pełna podziwu dla moich kolegów, zawodników Gorzowskiego Związku Sportu Niepełnosprawnych „Start”. Oni dostarczają mi niezwykłych wrażeń. Ciągłe poszukuję nowych wrażeń, doświadczeń i przede wszystkim ludzi, którzy są moją największą inspiracją.

**Robert Sławiński (GIK)**

**Foto: Piotr Miler**



## Piękna alienacja

To bardzo dobre wiersze! Własne słowa, własny świat, własne odczucia. Język bardzo prosty, stroniący od ozdobników i wywiasów imaginacyjnych – a jednak dotykający jaźni, oddający tętno, oddychający pulsem zarazem szorstkich, jak i czułych doznań i przeświadczeń.

To wiersze bardzo współczesne. Posiadają one bardzo realistyczne tło naszego świata tu i teraz, stąpające po ziemi, wśród prawdziwych rzeczy i głosów. Ich domyślnym tłem jest miasto z wszelkimi jego fakturami. Ich bolesnym tem-brem jest samotność w tym mieście, a może raczej solipsyzm, a może raczej osobność, na pewno ego. Ale poezja jest od ego!... Mówienie o „duszy” poprzez rzeczy to zawsze „wyższa szkoła jazdy”, której najmocniejszym walorem jest uwiarygodnianie tego, co mówimy. Reizm staje się jak gdyby świadkiem i scenografią przeżyć – ale bardzo prawdziwą. Naturalną i zdumiewającą.

Jedną z najmocniejszych wartości w tych wierszach jest znakomity wręcz melanz „przyziemności” z kulturowością. Kulturowością „popkulturową” (będącą signum naszej współczesności i „krajobrazem” miasta), ale też tą „wysoką”, intelektualną. W ten sposób to chodzenie po ziemi jest tutaj transformowane w cały kod znaków i sensów, które rewaloryzują ową przyziemność i w naturalny sposób przenoszą ją w sferę odruchów psychologicznych, estetycznych i aksjologicznych. W sumie powstaje jakiś komplementarny obraz obiektywnej zewnętrznosci i subiektywnych przeżyć, nastrojów, dylematów.

To wiersze mądre. Autorka daje nimi świadectwo życia refleksyjnego i to na poziomie godnym twórczej, kreatywnej poezji.

To wiersze bolesne. Na szczęście pozbawione „teatralnego darcia szat” i tanich gestów czy łatwej nadekspresji, a jednak emanujące alienacją, samotnością, wahaniami, jakimś szamotaniem się w „małej rzeczywistości”, która nagle urasta do rangi „Prawdziwego Życia”.

To wiersze czule. Autorka jest – jak wspomniałem – bardzo ascetyczna w środkach wyrazu, jednak nie potrafi – i chwała Bogu! – ukryć swej „delikatności”, „subtelności” w reagowaniu na materię życia. Dawniej o takim walorze mówiło się „poezja kobieca”. Ale w tym przypadku byłoby to niestosowne, ponieważ Jej model wiersza jest powściągliwy i stonowany, nie dbający o „estetyczność” przesłań, lecz – paradoksalnie – nie wiecej jej.

To wiersze piękne!

Tak, myślałem, że będę miał do czynienia z przypadkiem równym wielu innym, a jednak to jest coś „ponad”. Prawdziwy talent, autentyczna predyspozycja do samodzielnej i oryginalnej kreacji, która doświadczonego czytelnika poezji elektryzuje.

*Leszek Żuliński*

## O nowych wierszach Agnieszki Moroz

Zabrzmie to nieco anachronicznie, ale Agnieszka Moroz – być może świadomie – formalnie nie wykracza poza to, co w frazie, układzie wiersza i interpunkcji zaproponowali Różewicz i Czechowicz. Nie używa modnej kropki zamiast...

powiedzmy średniówki, nie stosuje przetrzutni międzystroficzej, nie „zabawia się” imponderabilnymi różnicami między post i modernizmem. A jest przy tym poetką z gruntu „pokoleniową” – czyli mówiącą współczesnym językiem o swoich sprawach. Dość charakterystycznie – może w związku z tym... niestety – jak większość rówieśników – szuka w kulturowych antenacjach tego, co w jakimś sensie mogłoby świadczyć o jej wyraźnie określonej tożsamości. Brzmi to bardzo groźnie, w kontekście takich postaci jak Ginsberg, Jarmush, Kubrick, Coppola, Marlon Brando, Al Pacino, Frida Kahlo – bo albo ci inkryminowani artyści są tak uniwersalni, albo Moroz jest „zakorzenioną inaczej”, może głębiej, może szerzej, ale w „nieswoim” generacyj-

nie pokoleniu. Może jednak tylko sięga do lamusa kultury po nieco spatyniałe..., powiedzmy, autorytety, może tylko tropy kulturowe, punkty odniesienia, impresje kulturowych kontaktów. Z łatwością mógłbym przecież zażądać od młodej poetki zupełnie innych adresów kulturowych, tworzących coś bardziej freestylowego niż np. „Skowyt”, „Czas Apokalipsy” czy „Nieustające wakacje”. A może chodzi tylko o kategorię... kontestacji, wszak i Ginsberg i Jarmush przeciw czemuś tam się „aktywizowali”. Ale gdyby spojrzeć na poezję Moroz tylko po wierzchu, odsłonić tylko te warstwy, które rejestrujemy czytając wiersze w autobusie, na wieczorze autorskim czy w Internecie, między wysłaniem jednego e-maila a odczytaniem drugiego SMS-a – to zobaczymy zwyczajną witalność, wyraźnie określoną energię i wyraźnie odczuwalną świeżość; tak naprawdę nie wiadomo, z czego wynikającą. Być może z dość zręcznie wytrzymywanej pozy lekko zbuntowanej „narratorki lirycznej”, która coś czyta, coś wie o świecie i już umie to poukładać w nieregularne strofy. Jakkolwiek brzmi to konfidencjonalnie, wynika z nieufności czytelniczej, którą usprawiedliwia „efektywność” wierszy Agnieszki Moroz, która to efektywność może być li tylko efekciarstwem. Także Moroz wie, co jest poezją. Już wie. Wiersze w większości nie wzbudzają formalnych zastrzeżeń. A jeśli w ideach nie zaskakuje nas Moroz niczym odkrywczym, to tym bardziej łakomie wije się dla niej czas, bo dopiero w większym wyborze tekstów może pojawić się jakaś ogólniejsza tendencja charakterystyczna tylko dla niej. Wyczuwam, że Agnieszka Moroz na naszych oczach „wyrasta” z okresu debiutanckiego; przed nią bardzo trudny etap „kolejnych publikacji książkowych” – dla wielu poetów to etap zabójczy. Agnieszkę Moroz warto... sprawdzić.

*Czesław Markiewicz*



## Agnieszka Moroz

## Zrozumieć świat

## Ulica magików

Ty lubisz gry  
czy się zgrywać  
nie rozumiałam  
cytrynki z maszynki  
zakłęcie z monopolowego  
(patrz jak z butelki znika plyn)  
uśmiech à la Caligari  
zza szyb domu  
w którym kobiety przepadają

Wszyscy jesteśmy magikami  
na tej ulicy  
przedmioty teleportują się nam do kieszeni  
sumienie  
odpływa pod kapeluszem

## Jenny głaszcze rybkę

Jenny boi się  
spojrzeć tacie w oczy  
kiedyś zamiast tęczówek  
zobaczyła zegarowe tarcze  
krótco potem  
chat noir  
zwinął się na ścianie  
w obawie przed zagłaskaniem na śmierć

Jenny boi się  
rozmawiać z mamą  
kiedyś zamiast słów  
z jej ust wypadła guma  
z przeżutych kartek terminarza  
Lalki zaczęły tracić głowy  
bez grania w gilotynę  
W ostatniej były papierowe kulki

Jenny się boi  
kiedy wchodzi do pokoju  
Welon szybciej niż zwykle  
okrąża szklaną kulę  
woda wrze  
bąbelkami z jego pyszczka  
Podobno głaskanie uspokaja  
więc Jenny głaszcze

Rybka wypływa na powierzchnię

Nie martw się Jenny  
kupimy nową  
Idź się pobawić

Agnieszka debiutowała w 2006 roku tomem wierszy „Každy idzie do nieba”. Była wtedy uczennicą ostatniej klasy gorzowskiego liceum, ale już w konkursie o Lubuski Wawrzyn Literacki dostała wyróżnienie za debiut. Teraz kończy studia polonistyczne na Uniwersytecie Szczecińskim i ma zdecydowanie większy zasób wiedzy nie tylko literackiej. „Ulicę magików” opatrzyła mottem: „Króla mag pokaże, a magik królika”. Właśnie – król, królik, oraz mag, magik – bliskie sobie są te wyrazy, a jakże inne mają znaczenia. Wszyscy jesteśmy magikami na tej ulicy – zwraca uwagę autorka w tytułowym wierszu. Warto to zapamiętać.

Agnieszka Moroz jest autorką wymagającą od swoich czytelników sporej wiedzy z szeroko pojętej współczesnej kultury. Swoj świat opisuje przywołując twórców lub bohaterów przede wszystkim filmowych. Już w pierwszym wierszu odwołuje się do znanych reżyserów Kubricka i Jarmuscha, w drugim jest uśmiech à la Caligari – a to przecież także bohater filmowy. W następnych będą Marlon Brando i Al Pacino jako męskie wzorce osobowe, będzie nawet doktor Howard Mierzwiak, który w komediodramacie „Zakochany bez pamięci” wymazuje z pamięci pacjenta wszystkie wspomnienia o miłości. Widać, że Agnieszka Moroz obejrzała wiele filmów, a teraz ich twórcy i bohaterowie pomagają jej zrozumieć świat, a nawet go trochę rządzą. Z taką samą swobodą Agnieszka żongluje postaciami z literatury, najczęściej amerykańskiej i angielskiej. Nie będę ich tutaj przytaczać, przeczytajcie sami, do kogo odwołują się młodzi poloniści. Jest także wrażliwa na malarstwo, choć ta dziedzina sztuki rzadziej się pojawia w jej wierszach. Na pewno lubi wysmakowaną fotografię, o czym świadczą starannie dobrane zdjęcia Bartosza Mateńki.

Inny krąg rekwizytorni Agnieszki Moroz to miasto z ulicą już w tytule tomu. Są tu także bruk, chodnik, telefoniczna budka, mieszkanie w bloku, jest nawet osiedlokrążca, czyli ten, który w ten sposób leczy się z miłości. Z tych dwóch źródeł inspiracji, czyli kultury i codzienności, Agnieszka Moroz buduje prawdę o sobie, a raczej ciągle szuka tej prawdy. Pisze: *Ja / królowa kier / madonna bez dzieciątka / przesuwam perłę na sznurze naszyjnika / i zamiast Amen / wzruszam ramionami*. Nie. Na pewno nie wolno jej powiedzieć „Amen”, ale przecież wzruszenie ramionami też nie jest rozwiązaniem problemów dręczących autorkę. Także każdego człowieka. Bo jej problemy nie są inne od problemów setek innych ludzi: miłość, samotność, zachwyty, pożegnania, ja, ty, my, oni. Najważniejsze jednak, jak te wszystkie stany ducha autor opisuje. A Agnieszka Moroz zapisuje je niezwykle oryginalnie, językiem własnym, zaskakująco odmiennym od języka jej współczesnych.

Muszę na zakończenie przywołać opinię cenionego krytyka Leszka Żulińskiego, którą zawarł w posłowniu. *Myslałem, że będę miał do czynienia z przypadkiem równym wielu innym, a jednak tu jest coś „ponad”. Prawdziwy talent, autentyczna predyspozycja do samodzielnej i oryginalnej kreacji, która doświadczonego czytelnika poezji elektryzuje.*

Jeśli te wiersze zelektryzowały Leszka Żulińskiego, to czapki z głów. Książkę wydał gorzowskie oddział Związku Literatów Polskich dzięki finansowej pomocy Urzędu Miejskiego w Gorzowie. Muszę to podkreślić, bo w tym roku budżet mojego miasta wsparł tylko dwie książki. Najlepsze.

*Krystyna Kamińska*

## Asamblaż artysty rzeźbiarza i poety Jerzego Gąsiorka (Gąsiora) w „Galerii schodowej” gorzowskiej księżnicy

Dnia 10 września 2010 r. w Galerii „Pod Kopułą” w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej otwarto wystawę Jerzego Gąsiorka zatytułowaną „Siermiężny świat Gąsiora”. Artysta wystawił około 40 prac, rzeźb i asamblaży. W większości są to prace nowe, tylko kilka z nich publiczność miała okazję oglądać w galerii Uniwersytetu Trzeciego Wieku lub w Klubie Jedyńka. Prace aktualnie niewystawiane gromadzi autor w swojej galerii, czyli na wieży w Santoku.



„Gąsiory” (tak przyjęto nazywać prace artysty) przenoszą nas w świat przyrody, a także metafizyki. Oglądamy zwierzęta, ptaki, Jezusa ukrzyżowanego, świętych: Franciszka, Antoniego, Łazarza i aniołów w siermiężnej szacie ze złocistą aureolą zrobioną z kawałka blachy.

Siermiężność świata Gąsiora wynika właśnie z materii, z której tworzy swoje prace (stare drewno, które poddane zostało upływowi czasu, elementy narzędzi codziennego użytku, czaszki zwierząt, worki), ale efektem staje się nie siermiężność, a poetyka świata duchowego i przyrodniczego otaczającego nas zewsząd. Autor wystawy czerpie inspiracje z bogatej sztuki „sacrum”. W 1984 r. zainicjował i przez wiele lat organizował Biennale Sztuki Sakralnej, prowadząc galerię Biura Wystaw Artystycznych. Otwarcie wystawy towarzyszyło duże zainteresowanie publiczności. Były słowa uznania dla artysty, kwiaty i podziękowania. Jerzy Gąsiorek jest bowiem znany i ceniony od wielu lat w środowisku artystycznym Gorzowa Wlkp.

Artysta urodził się 17.01.1941 r. w Granowcu, Jest absolwentem UAM w Poznaniu. W latach 1963-1977 był nauczycielem w Zespole Szkół Budowlanych w Gorzowie Wlkp. W latach 1977-1979 był kuratorem galerii „Oficyna” przy gorzowskim Muzeum, Od 1980 do 2006 r. prowadził galerię Biura Wystaw Artystycznych. Obecnie na emeryturze realizuje się jako plastyk, autor setek pastelów, rzeźb, głównie asamblaży, Pisze też o sztuce i architekturze.

Równoległe z działalnością plastyczną, zajmuje się pracą literacką. Dotychczas wydał sześć tomików wierszy. Od 2003 r. jest członkiem Związku Literatów Polskich.

„Gąsiory” można oglądać do końca listopada. Zapraszamy serdecznie do Galerii „Pod Kopułą”, żeby zobaczyć wyczarowany świat Jerzego Gąsiorka: Kapliczkę z kłosami zbóż, Don Kichota, Syna Marnotrawnego, Pietę, Femme Fatale i górujące nad nimi Anioły.

(z programu wystawy „Siermiężny świat Gąsiora”)



## Zbigniew Olchowik, znakomity gorzowski artysta, malarz, grafik, rysownik, plastyk WiMBP i „Pegaza Lubuskiego”, otworzył w „Galerii piętrowej” bogatą wystawę swoich najnowszych prac

### Zbigniew Olchowik CHOĆ I PACZ RYSUNEK-mALARSTWO

Zwykle bywało tak, że miałem i chyba mam nadal szczęście spotykać na swojej drodze właściwych ludzi. Najpierw liceum w Wołowie, zaraz po maturze wyjazd do Wrocławia, później studia w PWSSP. Dyplom w 1985. Tam spotkałem grupę Luxus, a jeszcze w trakcie studiów pierwsze dobre doświadczenia w designie... Po dyplomie Niemcy, później Paryż... itd Do Gorzowa trafiłem dopiero w 1990 r.

Od 1994 współtworzyłem tu m.in. od podstaw Liceum Plastyczne... Zawsze miałem duży dystans do swojej twórczości i do dziś nie mam tremy przed wystawą i nie obawiam się porażek, bo nigdy nie zakładałem, że jestem jakiś wyjątkowy...(?!). Miałem dużo wystaw w Polsce. Były również liczne prezentacje w środowisku karykaturzystów. Spędziłem też sporą część życia w kolejkach do odprawy na terminalu w Świecku, co oznaczać może, że za granicą również dużo wystawiałem...

Zawsze zajmowałem się kilkoma dyscyplinami jednocześnie, co jest dosyć ryzykowne, ale dawno temu założyłem sobie, że wszystko, czym się zajmuję, będę traktował równie poważnie. Na razie się udaje. W latach 90. rysowałem dużo karykatur do prasy. Należę do ZPAP i SPAK (Stowarzyszenie Polskich Artystów Karykatury) w Warszawie. Projektuję książki, plakaty i kalendarze itp. Od 2001 r. znów tworzyłem w Niemczech. W 2007 r. otrzymałem propozycję zajęcia się aranżacją od podstaw przestrzeni w budowanym właśnie gmachu WiMBP i ogarnięcia wszystkich zagadnień graficznych związanych z nową formułą działalności biblioteki.

Najnowsza wystawa rysunku i malarstwa to przykład szlachetniejszej (szlachetniejszej = niekomercyjnej) strony mojej twórczości. Pewnego dnia stwierdziłem ze zdziwieniem, że szuflada jest już na tyle pełna, by wszystko wyciągnąć i wreszcie pokazać się po latach w Gorzowie. Dokładnie rok temu prezentowałem się z innymi pracami w Barlinku w drodze rewanżu Romanie Kaszczyc (Pokaz nr 752).

„Choć i Pacz” składa się z ponad trzydziestu obrazów i kartonów powstałych w ostatnim roku w wolnych od obowiązków chwilach, z podobek raczej nieznanymi (czasami niskimi).

Ostrzegam, że osoby oczekujące od sztuki szoku, wstrząsu i adrenalin mogą poczuć się nieco rozczarowane, niemniej jednak wystawa może wymagać od widza dobrej kondycji i nerwów ze stali. Powodzenia.

**Olchowik**



OL  
CHO  
WIK

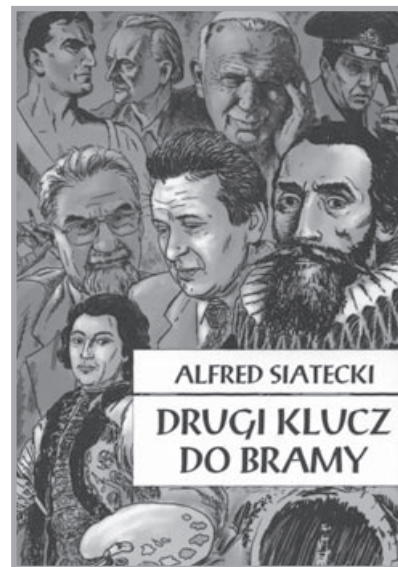
## CO JEST ZA TĄ BRAMĄ?

Książka Alfreda Siateckiego „Drugi klucz do bramy”, jak sam tytuł sugeruje, jest kontynuacją pierwszej części, czyli wydanego przed rokiem „Klucza do bramy”. Na pierwszy jak i na drugi „Klucz” złożyły się fikcyjne wywiady przeprowadzone przez autora z osobami ważnymi dla historii naszego regionu. W pierwszej części rozmówcami byli między innymi król Bolesław Chrobry, Henri Beyle znany w literaturze jako Stendhal, pisarz Stefan Flukowski, Bronisława Wajs, czyli Papusza, a nawet Bachus. Istotą tych rozmów jest propagowanie wiedzy nie tylko o danym człowieku, ale o epoce, w której żył, o uwarunkowaniu podjętych przez niego decyzji, o znaczeniu dla naszego regionu. W omówieniu tamtej książki podkreśliłam, że bardzo mi się podoba pomysł takich rozmów, ale jednocześnie upomniałam się o bohaterów z naszej, północnej części województwa lubuskiego. Autor wziął sobie do serca, pewnie nie tylko moje uwagi, bo w drugim tomie zaprezentował osoby z różnych miejscowości regionu, a nawet dołożył mapkę z zaznaczeniem miejsc, z którymi byli związani. Dziękuję.

Dziennikarze wiedzą, że jakość wywiadu zależy nie tylko od odpowiedzi, ale przede wszystkim od mądrze postawionych pytań. Alfred Siatecki musiał sporo wysiłku włożyć w poznanie nie tylko osoby, którą wybrał sobie do wywiadu, ale także by poznać epokę, ówczesny stan wiedzy, politykę, nawet obyczajowość. Z dawnych mieszkańców Gorzowa, czyli Landsberga, przypomina Theodora Burhardta, który wyhodował nowe odmiany drzew owocowych, z najbardziej znaną renetą landsberską. Przyznam, że dopiero od Siateckiego dowiedziałam się, że Burhardt stworzył także inne odmiany jabłoni, kilka gatunków czereśni, leszczyń, brzoskwiń, a nawet czereśniowo-wisnię. Wszystkie przystosowane do warunków klimatycznych naszego regionu. Był pierwszym świadomym hodowcą drzew owocowych, uwzględniał różne walory ich wyglądu, smaku, miąższości, okresu dojrzewania, przeznaczenia, itp. Dziś uznajemy za normalne, że w sklepie mamy do wyboru różne gatunki owoców, nie tylko z naszych sadów, ale także z południowych. Tymczasem do połowy XIX wieku, gdy Burhardt tworzył swoje odmiany, paleta dostępnych owoców była bardziej niż skromna, dominowały, mówiąc dzisiejszym językiem, zwykle dziczki. Pomologia, czyli nauka o odmianach drzew owocowych, dopiero się rodziła. I jeszcze ciekawostka: nowe gatunki Burhardta powstawały w sąsiedztwie dzisiejszego Urzędu Wojewódzkiego i banków, wówczas – w sadzie na peryferiach miasta. A sam Burhardt był z wykształcenia prawnikiem, zaś hodował drzewa wyłącznie dla przyjemności.

Z północnych stron lubuskiego w rozmowach Siateckiego przypomnieni zostali Jan Hohenzollern Kostrzyński, czyli władca, który z Kostrzyna uczynił stolicę swojego kraju – Nowej Marchii, Carl Ossietzki, jeden z pierwszych przeciwników Hitlera, więziony w Słońsku, Leon Pinecki – światowej sławy atleta związany z Sulęcinem, Łagowem i Stólniem. Są także bohaterowie ważni dla całego regionu, na czele z papieżem Janem Pawłem II, który był tu nie tylko wizytą duszpasterską, ale także pływał kajakiem po naszych rzekach i jeziorach, co upamiętnia pomnik w Zbąszyniu.

Autor nie ukrywa, że wiedzę o swoich bohaterach zdobywał z różnych źródeł, podaje bibliografię, dziękując informatorom. Z naszego regionu – przede wszystkim Jerzemu Zysnarskiemu. Serdecznie polecam Państwu dwa „Klucze do bramy”. Wiem, że już powstają kolejne tomy, bo przecież w Lubuskiem żyło wielu ciekawych ludzi.



*Krystyna Kamińska*

## Popiersie z brązu Kazika Furmana

W pierwszą rocznicę śmierci gorzowskiego poety Kazimierza Furmana, 14 października 2010 roku w holu Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Zb. Herberta w Gorzowie, obok rzeźb głów Zdzisława Morawskiego, Ireny Dowgielewicz i modelu pomnika Papuszy, stanęło popiersie Kazimierza Furmana dłuta Andrzeja Moskaluka, przyjaciela poety. Uroczystości odsłonięcia towarzyszyło czytanie przez córkę poety, Aldonę, i przez Janusza Dreczkę, jego przyjaciela, wierszy Kazika oraz jemu poświęconych. Zespół Żółte Kalendarze wykonał kilka piosenek do słów Furmana z „Projektu FURMAN”, których prawykonania słuchaliśmy na dziedzińcu UM podczas Dni Gorzowa. Oprócz popiersia odsłonięto także cenną wystawę serigrafii Bolesława Kowalskiego inspirowanych twórczością poetycką Furmana. Naszej bibliotece prace te podarował Janusz Dreczka.

## Literatura w polskim kinie

28 października o godz. 18.00 (sala 110) w gorzowskiej bibliotece dr Piotr Marecki będzie mówił o rozwoju polskiego kina po 1989 r. i jego związkach z literaturą. Piotr Marecki jest filologiem, filmoznawcą, doktorem kulturoznawstwa Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz dyrektorem Krakowskiej Szkoły Scenariuszowej. Ma charyzmę i niezwykłą energię, co pozwala mu pociągnąć za sobą innych i realizować duże przedsięwzięcia, m.in. festiwale literackie i sesje naukowe. Zajmuje się przede wszystkim współczesną literaturą oraz związkami literatury z nowymi mediami i kinem, promuje nowe formy i gatunki literackie oraz kulturę niezależną. Jest pasjonatem polskiego kina. Jego badania koncentrują się wokół problematyki kina niezależnego oraz związków kina i literatury. W 2009 r. ukazała się jego książka „Kino niezależne w Polsce 1989 – 2009. Historia mówiona”, a w 2010 r. – „Kino polskie 1989 – 2009. Historia krytyczna”.

W wykładzie zatytułowanym „Zwrot literacki w polskim kinie współczesnym” omówi przede wszystkim związki książek i filmów „Wojna polsko-ruska” i „Rewers”. Dyskusję po wykładzie poprowadzi Monika Kowalska – dyrektor kina Helios w Gorzowie, wcześniej przez wiele lat prezes Dyskusyjnego Klubu Filmowego Megaron i szefowa kina „60 Krzesel”.

Serdecznie zapraszam na ten wykład, który będzie częścią projektu kulturalnego „Dyskusyjne Kluby Książki”, realizowanego przy udziale finansowym Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

**Oprac. Anna Królewicz–Spętany**

## Karin Wolff nagrodzona medalem wdzięczności

Europejskie Centrum Solidarności honoruje Medalem Wdzięczności obcokrajowców wspierających przed laty Polaków w walce o wolność. Wśród nich jest również bardzo znana w Lubuskim tłumaczka literatury polskiej, która od 1981 r. wraz z matką wysyłała do Polski dary i papier do drukowania. Do stanu wojennego była nielegalną współpracowniczką miesięcznika „Polska-Zachód” oraz tłumaczką i popularyzatorką polskiej literatury niemieckiej. Współpracowała i tłumaczyła Jerzego Ficowskiego, ks. Jana Twardowskiego, Annę Kamińską i innych polskich autorów. W okresie stanu wojennego kontynuowała tłumaczenia pisarzy „na indeksie”, tłumaczyła na język niemiecki listy, uchwały i odezwy Solidarności, podpisując się pseudonimem „Czarny Kot”. Udzielała też indywidualnego wsparcia kolegom i przyjaciołom w Polsce. Ze względu na swą aktywność była pilnie obserwowana przez Stasi.



Podczas ostatniego pobytu w Gorzowie Karin Wolff spotkała się z wojewodą Heleną Hatką, od której uzyskała zapewnienie wsparcia jej działań promujących polską literaturę w Niemczech. Na łamach „Pegaza” pisaliśmy o jej „Salonach literackich”. Kolejny odbędzie się 19 stycznia w Muzeum Kleista we Frankfurcie i poświęcony będzie poezji Kazimierza Furmana. Następny, w lutym, Markowi Bieńczykowi, jednemu z jej ulubionych „zwariowanych” pisarzy polskich. – *Gdy robiłam te moje Salony, próbowałam pokazać, jak inaczej Polska jest zbudowana, jak bogata jest ta gama kolorów. Byli więc zawsze i Cyganie, i imigrant z Francji, czytałam „Madonnę Mikulińską” Pruszyńskiego. Chcę przedstawić wnętrze jednego narodu, sposób myślenia, kulturę. To ambitne zadanie. Dla Niemców Polacy to gorszy naród. (...) Porządny Niemiec denerwuje to dziwaczne usposobienie Polaka. Nie da się tej Polski za bardzo poasegregować, poustawiać w szufladach. Ale ja nie jestem osobą od szuflad* – powiedziała Karin Wolff w wywiadzie udzielonym Dariuszowi Bańskiemu dla „Gazety Wyborczej”.

## Michał Jagiełło



18 października w WiMBP odbyło się spotkanie autorskie Michała Jagiełły – pisarza, poety, eseisty i publicysty, a zarazem taternika, alpinisty, ratownika TOPR-u i przewodnika tatrzańkiego, byłego wiceministra kultury, wieloletniego dyrektora Biblioteki Narodowej. Zwinne

ruchy, wysmagana góskim wiatrem twarz – od razu pozwoliły rozpoznać w nim prawdziwego twardego „człowieka gór”. Jednak gdy wsłuchać się w jego opowieści i fragmenty czytanych utworów, również człowieka niezwykle wrażliwego. Wiedza i doświadczenie ratownika górskiego i taternika w połączeniu z pasją, znajomością warsztatu (absolwent polonistyki na UJ w Krakowie) i talentem literackim zaowocowały szeregiem interesujących publikacji o górach, m.in. „Obsesja”, tryptyk – „Trójkątna turnia, „Za grania grań” i „Jawnie i skrycie” czy najbardziej chyba popularna – określona przez jednego z obecnych na spotkaniu czytelników jako „biblia taterników” – powieść „Wołanie w górach”. W utworach tych autor, obok dramatycznych relacji z wypraw i akcji ratowniczych, zawarł refleksje o naturze gór, o zachowaniach ludzkich w skrajnych sytuacjach, o odwadze i poświęceniu. Tymi przemyśleniami dzielił się ze słuchaczami. Prezentując swój najnowszy tomik poezji „Ciało i pamięć”, dał się również poznać jako utalentowany poeta opiewający swoją „tatrzańską ojczyznę” czy ojciec z czułością pochylający się nad dziecięcymi problemami małych córeczek (wiersze „Rękawiczki 1979” i „Biedronki 1982”). Michał Jagiełło, wykładowca w Instytucie Kultury Polskiej UW, zajmuje się też pracą naukową. Jej efektem jest prezentowany na spotkaniu, poświęcony kulturze mniejszości narodowych w Polsce, pierwszy tom publikacji „Narody i narodowości. Przewodnik po lekturach” – efekt żmudnej pracy autora wspieranego przez pracowników Biblioteki Narodowej.

W trakcie rozmów czytelników z pisarzem poruszono temat wiarygodności nowego polskiego serialu „Ratownicy”. Niestety, wśród prawdziwych „topowców” nie znalazł on uznania. Znalazła je natomiast, chętnie nabywana, najnowsza książka poetycka bohatera wieczoru.

**Anna Sokółka**

Irena Grabowska

**CYGAŃSKA NOC**

*Edwardowi Dębickiemu*

Nocą krótką, lipcową  
Księżyc po niebie wędrował.  
Na wzgórzu nad schodami donikąd  
Staął, urzeczony cygańską muzyką,  
Której tony rzewne,  
lkaniem skrzypiec znajome,  
Wiodły go w dół w amfiteatru stronę,  
Gdzie cygańskie zespoły  
rozśpiewane, tańczące,  
Dawały swój coroczny koncert.  
A obok stały wozy kolorowe  
Gotowe na hasło  
Ruszyć zaraz za miasto,  
W tę noc księżycową, krótką i jasną.

Księżyc z taborem ruszył.  
Rozświetlił drogi do lasu  
Gwieździe polarnej nakazał  
Być jasnym drogowskazem  
Dla tych wozów kolorowych,  
W ręce konie zaprzężonych,  
Koni niecierpliwie parskających,  
Wolności, przestrzeni spragnionych.

**PAPUSZY**

Jest taki park;  
Jedyny, bo zaczarowany.  
W nim lampy zaświeca księżyc.  
Tam pod platanami  
Wędruje zagubiona młodość  
Pustymi alejkami.

Poprzez szmer wodospadu  
Dźwięki pianina słyhać,  
Z restauracji na palach  
Dobiega lekka i cicha,  
Ponadczasowa, jakże znajoma,  
Zagubionej młodości muzyka.

Jesiennym, pustym parkiem  
Idzie spóźniony przechodzień.  
Szuka dawnej miłości;  
Przychodzi niezmiennie, co dzień.  
Mijają się w ciemnych alejkach  
Młodość, miłość, przechodzień.

Irena Grabowska, Gorzów Wlkp.  
Absolwentka II LO im. M. Curie-Skłodowskiej w Gorzowie Wlkp. (1964 - 1968) i Politechniki Szczecińskiej.

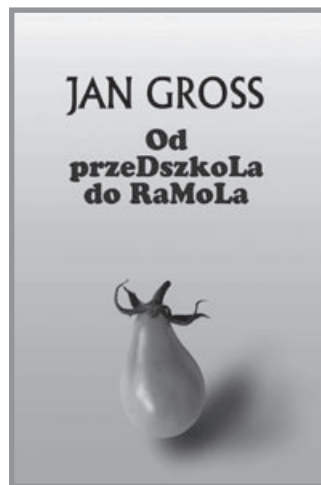
**DESER Z GROSSEM**

Jan Gross należy do najlepszych satyryków nie tylko gorzowskich czy lubuskich, ale polskich, bo znany jest czytelnikom w całym kraju. Wydał 22 książki, jego małe formy satyryczne weszły do 24. antologii, wiele razy czytane były przez radio, jako że przez lata współpracował stale z kilkoma redakcjami. A liczba publikacji prasowych może przyprawić o zawrót głowy. Aż 733 razy pojawiał się w prasie nazwisko Jana Grossa, a zazwyczaj publikował nie jedną, lecz kilka fraszek lub aforyzmów. Wszystkie te dane zacerpnięłam z najnowszej książki Jana Grossa pod tytułem „Od przedszkola do ramola”. Wydała ją gorzowska biblioteka dla uhonorowania jubileuszu 50-lecia pracy literackiej autora. Trochę się gubię w tym liczeniu, bo pierwszą fraszkę opublikował w 1958 roku, a pierwszą książkę dopiero w 1979. Z drugiej strony ilość pracy, jaką włożono w przygotowanie tej książki, wymagała sporo czasu. Zakładam więc, że z okazji 50-lecia debiutu rozpoczęto przygotowanie tej książki sumującej cały dorobek Jana Grossa.

Na początek idą fraszki. Przymniano ich ponad 1500 w układzie od fraszek z książek dla dzieci aż po te dla całkiem dojrzałych. Następnie bajki – forma nieco dłuższa. Potem kilka stron limeryków, są też jakże modne ostatnio moskaliki, lepiej i altruistki. Kolejny rozdział to po prostu wiersze, dalej skecze, humoreski, repyzy, ogłoszenia, a nawet odpowiedzi na listy. Duży rozdział to aforyzmy, których, niestety, nikt z wydawców nie zliczył. Pomyslcie! 35 stron po co najmniej 16 aforyzmów na jednej stronie. Prawie 600. Uf! Ale to dopiero połowa książki, bo jej drugą, równie obszerną część – blisko 200 stron – wypełniają indeksy jego utworów, czyli szczegółowa informacja, gdzie dana fraszka lub aforyzm były wydrukowane. Tu zawartość poszczególnych książek, wykaz recenzji, pełna bibliografia wypowiedzi o autorze oraz spis udzielonych przez niego wywiadów. Jest także obszerna nota o autorze oraz wykaz zdobytych przez niego nagród. Tę część wymagającą bibliotekarskiej dokładności i anielskiej cierpliwości przygotowała Danuta Zielińska. Szczerze podziwiam. Książka jest pięknie wydana, w twardej oprawie, z dowcipnymi rysunkami Zbigniewa Olchowika.

Wypadałoby teraz ocenić zawartość książki zatytułowanej z epickim rozmachem „Od przedszkola do ramola”. I tu mam największy problem, bo jak zrobić syntezę blisko trzech tysięcy syntez: wszak każda fraszka lub aforyzm same w sobie są syntezą.

Znany satyryk – Ludwik Jerzy Kern w opublikowanym niedawno wywiadzie przyznał, że chętnie pisze fraszki i aforyzmy, ale nie wydaje ich w książkach. Jego zdaniem te małe formy satyryczne są jak deser po smacznym obiedzie. A jak – pytał – serwować na jednej stronie 15 deserów? A jak – pytam ja – spożyć jednocześnie trzy tysiące deserów? Nie, tej książki nie da się przetrwać szybko. Trzeba ją smakować, zagłądać do niej w chwilach chandry lub smutku, a na pewno świat pokaże swoje pogodniejsze oblicze. Zalecam więc dawkowanie. A wydawcę,



czyli gorzowską bibliotekę chwałę za niezwykle profesjonalne przygotowanie publikacji. Nie na darmo jej redaktorem jest sam dyrektor – Edward Jaworski.

**KARIERA PEWNEJ EWY**  
Po szczeblach kariery  
zaczęła się piąć,  
kiedy już pojęła, przed kim  
listek zdjąć.

**SUKCESY**  
Cudze błędy dla wielu  
być mogą,  
jedyną do awansu drogą.

**SZCZYTY I DOLINY**  
Nie zbudujesz wieży  
na najwyższych graniach!  
Im kto wyżej mierzy,  
tym niżej się kłania.

**UGRZECZNIONY**  
Dla jednych ukłony i  
pokorna mina,  
za to na drugich może się  
wypinać.

**KOBIETA SERCOWA**  
Gdy się gniewa na Jana,  
to przyjmuje Waleriana.

**KURACJA SERCOWA**  
Gdy jedna mówi: Precz!  
Serce drugą lecz.

**KURACJA W KRYNICY**  
Nie pomagał „Zuber”,  
ani nawet „Jan”.  
Dopiero pan Tazio  
poprawił jej stan.

**UROZMAICONA  
TERAPIA**  
Dwa rodzaje terapii  
są niezwykle modne,  
po gorących pieśczętach  
zimne bicze wodne.

**O PEWNYM PROCESIE**  
I porządnego człowieka  
proces starzenia czeka.

**NIEMOC TWÓRCZA**  
Temu autorowi  
nic w głowie nie świta,  
bowiem jego Pegaz  
wyciągnął kopyta.

*Krystyna Kamińska*

Jan Gross, *Od przedszkola do ramola*,  
Wydawca Wojewódzka i Miejska Biblioteka  
Publiczna, il. Zbigniew Olchowik, Gorzów 2010

**PEGAZ LUBUSKI** Czasopismo literackie pod auspicjami WiMBP i ZLP.  
Red. nac.: Ireneusz K. Szmidt (tel. 501 520 227, wag.arsenal@wp.pl),  
sekretarz: Danuta Zielińska, współpraca: Krystyna Kamińska, Marek Grewling, Zdjęcia: I. K. Szmidt, Z. Olchowik, Piotr Miler, Arek Sikorski, archiwa wydawcy i autorów.  
Pprojekt okładki: Zbigniew Olchowik  
Wydawcy: Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna, ul. Sikorskiego 107, tel. 95 727 70 70, e-mail: informacja@wimbp.gorzow.pl, i ZO ZLP w Gorzowie, ul. Janockiego 31.  
www.zlp.gorzow.prv.pl ; e-maile:zlp.gorzow@wp.pl;i.k.szmidt@wp.pl;  
Skład komputerowy: Daniel Besta i I. K. Szmidt

## JAN GROSS

## Piątka z wakacji

Podczas ostatnich  
letnich wakacji  
pięć pań poznałem  
pełnych gracji.

I każda jedna  
miała to coś,  
więc się poczułem  
jak ważny ktoś.

Wciąż przypominam  
sobie Zuzannę,  
bo miała usta  
takie zachłanne.

Wiem jakie mini  
miała Gertruda  
i jak ponętne  
były jej uda.

Często w mych myślach  
króluje Klara  
i jej pagórków  
sprężysta para.

Mam przed oczyma  
zgrabniutką Werę  
i jej kuszący  
kształtny kuperek.

Inka dziewczyną  
była nieglupią  
i tak seksownie  
kręciła pupą.

Spotkać je razem  
byłaby draka,  
więc w myślach każdej  
daję piątaka.

## TADEUSZ SZYFER

Człowiek – istota rozumna, która  
z niewiadomych przyczyn rzadko to okazuje.

Kłamca ma zaletę – wyobraźnię.

Ludzie mają skłonności matematyczne  
i zawsze na coś liczą.

Niektórych przeszkód nie pokonasz.  
Muszą poumierać.

Przestał panować nad sobą  
– zaczął nad innymi.

Różnie toczą się losy.  
Czasem – zataczają!

Słabi duchem kamienie  
z serca wiążą na szyi.

To znany władca.  
Panował za czasów swego błazna.

## FRED KASANDER GŁODZIK

## Chwała zwycięzcom albo Na dwoje babka wróżyła\*)

**P**rzepadnie bractwo sierpa i młota  
**Z**astępy Tuska i Palikota  
**N**a oskarżonych zasiądą ławie  
**N**iesprawiedliwość oraz bezprawie

**D**ziałacze PiS-u i wódz ich Jarek  
**Z**drajcom okrutną zgotuje karę  
**W**yborach sukces wielki odniesie  
**B**liźniak co księżyc ukradł wraz z Lesiem

**R**adio Maryja i Ojciec Rydzyk  
**B**ędą po deszczu rosły jak grzyby  
**P**od wodzą „Ojca” liczne mohery  
**C**o chcą być bramą do nowej ery

**D**ziedzicy cały rozum po Ruskach  
**Z**wycięska partia Donalda Tuska  
**R**uch, co się zowie obywatelski  
**P**ęknie ze złości jak Smok Wawelski

\*) *Zwolennicy rymów aabb mogą ten wiersz czytać strofkami w pionie, zwolennicy rymów abab mogą go czytać w liniach poziomych*

## JUREK GRODEK

## Fraszki wyborcze

**Polityczny kameleon**  
W każdym kolorze  
zmalować coś może.

**Wybory**

Dobre czasy  
dla kielbasy...

**Załatwienie konkurenta**  
Wtedy jest bardzo szczery,  
Gdy ma pewne „papiery”.

**Elokwentny kandydat**  
Kiedy temat gospodarczy,  
To on wtedy tylko warczy...

**Wymowny...**

I największego drania  
stać na kwieciste zdania.

**Zakuty...**

Gdy slogany nie wystarczą  
Szybko chowa łeb za tarczą.

**Leniwy...**

Zawsze był cacy  
jak nie miał się pracy.

**Ortodoksyjny**

Jego polityczna recepta jest prosta:  
słowem – na prawo i lewo chłosta.

\*\*\*

Nierówna bitwa,  
kiedy w grze sitwa.

**Niczym Fenix...**

Kiedy naród przeżywa klęski,  
On zawsze wychodzi zwycięski.

**Polityka w Internecie**

Dziś nawet w sieci  
przygniatają nas śmieci.

## Inne, także polityczne

\*\*\*

Taka polityczna menda,  
a dziś w glorii. I legenda.

\*\*\*

Nigdy na nogach pewnie nie stał.  
Po śmierci zmienił to piedestał.

**Przetarg**

Grube koperty...  
Wygrywają oferty!

**Rząd w kryzysie**  
Przy pełnym korycie  
Żyje w zachwycie.

**Fry- wolne**

**Uzależniona sąsiadka**  
Często chodzi do spowiedzi,  
bo zbyt przystojni sąsiedzi.

\*\*\*

Żył z żoną zgodnie  
do czasu...  
Gdy miał wygodnie.

\*\*\*

Była niby niewinna,  
– w rzeczywistości inna.

**Krótkowzroczny Don Juan**

Doczekał się kary  
Winne były okulary.

**Pechowa**

Tak szybko zbyta..  
Jak była zdobyta.

**Dyspozycyjny**

Na każde zawołanie  
Jestem dla Was, panie.